Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII — Warszawa, dn. 29 stycznia 1956 r. — Nr 4 (530)

SZEKRET

„Albowiem rzadko trafia się człowiek, który by był zupełnie wolny od skazy szukania samego siebie".

(Tomasz a Kempis)

JERZY KRZYSZTOŃ

NA moim grobie będzie wypisane: Paweł Rosicki, lat dziewiętnaście. No, może: dwadzieścia... To zależy, czy się opłaci wycinać mi jeszcze te żebra. Bo jak mi mówił zecer Stenz, ten, co mu żona „bytomski wurst" przysyła, ten, co leży ze mną w jednej separatce — z rok można pociągnąć, kiedy te żebra wytną. Prawdę powiedziawszy to nie chciałbym, żeby mnie cięli... Czasem dobrze wiedzieć, że człowiekowi trzy ćwierci do śmierci. A ja wiem, bo inaczej t y l e by mnie obchodziło, co mi tam na grobie wypiszą. Myślę sobie tak od wczoraj. Bo wczoraj posłyszałem, jak doktor naczelny mówił do siostry Marii w sprawie tych moich żeber, że nie wie, czy się opłaci. I w nocy nie mogłem spać, i myślałem sobie o tym i o owym, i przypomniał mi się grób mojego ojca. Wtedy postanowiłem, że u mnie nie może być wypisane: ZASNĄŁ W PANU. Bo ojcu po śmierci przypięli to kłamstwo. A matka się zgodziła, matka sama tak chciała, bo matka zawsze na wszystko się godziła i czekała na miłosierdzie Boże. „W krzyżu — cierpienie, w krzyżu — zbawienie, w krzyżu — miłości nauka, kto krzyż odgadnie, ten nie upadnie..." Ech, żeby chcć miała ładny głos! Ale zawsze była zachrypnięta od nocnego wstawania do bramy. Ojciec nie mógł, bo na szóstą szedł do roboty. A my z bratem udawaliśmy, że nie słyszymy dzwonka... Zresztą nam się n i e k a l k u l o w a ł o. Nam każdy mógł wetknąć byle grosz na cukierki, albo spytać za całą zapłatę: „Co to, chłopcze, mama chora?" Ale lecieliśmy na łeb na szyję, który pierwszy, jak był taki długi dzwonek, jednym ciągiem. Bo wtedy wracał pijany doktor z drugiego piętra, którego żona zdradzała. „Masz tu, synku, sto złotych... Ona mnie kocha do ostatniego grosza". Potem gramolił się na schody, na półpiętrze przystawał i kiwał ręką, żeby podejść. „Wiesz, co — mówił — a może ja się u was prześpię? Nie chciałbym przestraszyć Kazika..." Kazik to był jego syn. Za okupacji rozstrzelali go na Zamku. A kiedy był mały, to go doktor wróciwszy po pijanemu wystraszył tak, że Kazik zaczął się jąkać. Mój brat, który nie szanuje nikogo, chyba że teraz — więziennego dozorcę, powiedział kiedyś doktorowi, jak tak stali w nocy na schodach: „Proszę pana, przecież Kazik dawno już ziemię gryzie". Wtedy doktor, wiem to od brata, chwycił go za policzek, przyciągnął do swojej twarzy i powiedział tak cicho, jak tylko można: „Ty durniu. Myślisz, że ja mógłbym o tym zapomnieć?"

Mój brat tym bardziej się wtedy ześwinił, że doktor, po śmierci ojca w czterdziestym siódmym, pomagał matce przez kilka lat, dopóki miał dużą praktykę i pacjenci jeszcze nie zwąchali, że się całkiem rozpił. Doktor zresztą szanował ojca i nieraz przesiadywali wieczorem w ogródku albo szli na ryby. A przed samą wojną, kiedy dla wszystkich kamieniarzy z naszego miasta skończyła się wielka robota przy budowie klinkierowej szosy, doktor powiedział, że wrócił właśnie z Krasnegostawu, nową szosą, samochodem i że mój ojciec całą tę drogę przeszedł na kolanach i żebym się starał o tym pamiętać.

Tak mi się ten nasz doktor przypomniał... Bo — moim zdaniem — mało kogo obchodzi drugi człowiek. Ot co. U nas na budowie był agitator Kraśko, z zawodu szofer. Jak tylko wysiadł z maszyny, to od razu kuśtykał między ludzi, bo mu stopę na froncie urwało, i przepytywał, co kogo boli. Miał taki grubv notes i spisywał wszystko z imieniem i z nazwiskiem. Że czemu nie płacą za nadliczbowe godziny, czemu jedzenie w stołówce marne, czemu w barakach tyle pluskiew, wszelkiego paskudztwa, co spać nie daje. A Józek, jak się spiknął z taką jedną, co zaszła w ciążę i chcieli się żenić, spytał, czemu na nowym osiedlu dostał mieszkanie ten i tamten, a dla niego nie starczyło? A jakem wyjeżdżał z budowy, to ludzie się śmieli, że Kraśko już zapisał osiem notesów, t a k i c h grubych, i że ma się już czym podcierać.

Zecer Stenz powiedział mi na to, że taki Kraśko to gnida, niedorostek, że niedorostków u nas cała kupa, ale po to jest socjalizm, pierzina, żeby ich było coraz mniej. A ja się pytam, kto miał dorosnąc, jak nie Kraśko, co mu tę nogę na froncie urwało, wszy go gryzły i wszystko? Ja miałem dorosnąć? Więc się pytam, kto miał dorosnąć, jak nie zecer Stenz, co za sanacji kolportował czerwone gazetki, siedział za kratkami ładnych parę lat, a teraz pietra się przed śmiercią, bo czemu by inaczej podciągał spirytus pod ten swój „bytomski wurst", a potem przy siostrze Marii stroił miny i przebąkiwał niby tak sobie o księdzu?

On mnie zazdrości. Bo wie, że ja nie będę prosił o księdza. I spirytus mnie nie potrzebny. I nie muszę robić głupich min do siostry. Bo jak siostra Maria wejdzie, to Stenz robi takie wielkie oczy jak kot. Choć sam wygląda jak szczurek, pokurcz taki. A jak siostra Maria wyjdzie, to mu się zaraz spomina tako staro śpiwka:

„Dej mi, Panie Boże, żonkę jak najprędzej,
Co bym już nie cierpioł takiej wielkiej nędzy".

Ale czasem myślę, jakby tak Stenz wiedział choćby t o j e d n o, czy wtedy potrafiłby mi jeszcze z a z d r o ś c i ć?

To dobrze, to bardzo dobrze, że Stenz mnie zazdrości. Każdy każdemu powinien czegoś zazdrościć. Józek zazdrościł tym, co dostali mieszkanie. Mój brat — bogatym. Michał każdemu, kto miał swoje morgi i nie musiał tyrać tak jak on na budowie. A ja nie zazdroszczę nikomu. Bo wiem, że każdy człowiek ma swoją skrytkę, taki sekret, o którym nikt nie wie, o którym nigdy nikomu się nie powie, i dlatego sekretu żadnemu człowiekowi nie trzeba zazdrościć.

Tak chciałbym zasnąć tej nocy. Zaraz przyjdzie siostra z termometrem. A tego kłamstwa przypiąć sobie nie dam. N i e z a s n ę w P a n u.

Teraz czuję, że gnaty mnie bolą gorzej niż po pierwszej dniówce na budowie, kiedy kopaliśmy fundamenty pod halę montażową. Ale nie ma co narzekać, bo wtedy błoto było po kostki, deszcz zacinał, taczki się ześlizgiwały z desek, a wywrotka ugrzęzła po same osie i za cholerę nie dało się jej ruszyć. A teraz deszcz tłucze, ale gdzieś po dachu, i siedzę sobie w czystym łóżku, i napchałem pod plecy poduszek...

Piszę, bo jakbym nie pisał, to bym zwariował.

WIĘC chyba mnie nie będą wycinać tych żeber. Dzisiaj rano siostra Maria przyszła i zapytała najpierw, czy dobrze spałem tej nocy? Pewnie, że spałem i będę spał, ile mnie się tylko podoba. Widocznie Stenz mnie podsłuchał, i zaraz poleciał z językiem. Bo on wszystko paple siostrze Marii, jakby się chciał jej przypodobać. Jeszcze mu zrobię taki kawał z tym spirytusem, że się wszyscy dowiedzą i ani się obejrzy, jak wyfrunie z Sanatorium. Stary osioł. Ale to był tylko wstęp, ma się rozumieć, to pierwsze pytanie, żeby zmylić Stenza. Bo potem siostra Maria niby to poprawiając poduszki coś mi tam szepnęła o księdzu.

Otóż ja musiałem ugryźć się w język. Musiałem mocno ugryźć się w język, bo siostra Maria ma już siwe włosy, i wielu ludzi odprawiła na cmentarz i wszyscy ją szanują, i ma małego synka, Krzysia, któremu opowiadam o budowie, a on będzie, on mnie przynosi po kryjomu ołówki do pisania. Taka nasza koleżeńska umowa. Więc tylko zrobiłem ruch głową, że n i e. Ale myślę, że niechby tak jeszcze słowo, to pies trącał ołówki, Krzysia i siwe włosy — p o w i e d z i a ł b y m jej. Tak. A tu szkoda gadać... ona umie ludzi wyprawić na cmentarz. A to trudna sprawa, i nie każdy to potrafi, nie każdy umie zmilczeć, kiedy trzeba, i jest w tym jakaś — jakby to powiedzieć — jakaś godność. Tak.

Ale jak siostra Maria wyszła, coś mi się przypomniało, i leżałem spocony, i wiedziałem, że to o n mi się przypomniał, zobaczyłem go tak, jakby siedział ot tu, zaraz, w rogu pokoju na łóżku, i czyścił te swoje buty. Bo on zawsze czyścił buty. I wtedy też czyścił buty i podrzucił włosy do tyłu, wyszczerzył zęby i powiedział: „A na cholere, na cholere mnie żyć po śmierci". Bo u nas kiedyś była taka gadka, deszcz padał, forsy nie było i wszyscy się gzili w baraku, a spać było za wcześnie. I on wtedy powiedział: „A na cholere mnie żyć po śmierci" — i każdy się roześmiał.

Bo najpierw szło na powagę. Nawet rzec można — całkiem twardo.

Michał, ten co ciułał z sołtysowego przykazania na prosięta, dwie krowy i konia, kładł się spać — jak to u chłopów bywa — z kurami. Ledwie się ciemno zrobi, już śpi. Ale przedtem zawsze się modli. Najpierw szedł się odlać, potem klękał przed łóżkiem, żegnał się szeroko. Mamrotał, mamrotał. Znów się żegnał... I nikt tego Michała nie lubił. Nie za to, że się modli, ale że pies z niego był na pieniądze. Nigdy nikomu nie pożyczył i nigdy nikomu nie postawił. Nawet biskup by go nie namówił na ćwiartkę. A Józek wtedy przyszedł wściekły, bo zwąchał, że go wykiwali z przydziałem na mieszkanie, i nie wiedział, jak teraz zabajerować swoją dziewczynę, bo była już w siódmym miesiącu. Więc cholera go brała, siedział na łóżku, kurzył „Sporty" i pomrukiwał: skurwysyny, skurwysyny. Michał uklęknął, ale odwrócił głowę i powiada: „Proszu. Pomilczy trocha. Pomodlić sia musza". Oho, dobra jest, szykuje się lepsza draka. Ale Józek popatrzył na niego, splunął i zmilczał; Patrzymy — nic. Michał się modli. Józek ćmi papierosa. Deszcz pada. Michał już się żegna, chce wstawać, a tu Józek podskakuje do niego, ciśnie za ramiona do podłogi: „Klęcz — mówi — klęcz, ty hryciu skórkowany..."

— Odczep sia — powiada Michał.

— Odczep sia. Proszu.

Ale Józek ciśnie go z góry, aż mu twarz poczerwieniała i ręce dygoczą. Bo choć Józkowi nic nie brak, to z Michała jest lepsze byczysko. Nie da się tak trzymać i zaraz mu się wyrwie. Więc podnosi się już trochę z kolan, a wtedy Józek do niego:

— Pomyśl no, hryciu—powiada — jakiej cholery się modlisz?... Ot, cała forsa ci przepada... Modlisz się wtedy czy nie modlisz, co?

Więc Michałowi kolana stuknęły o podłogę, schylił głowę i widać, że się zastanawia.

— Eee, durny... Na książeczce nie przepadnie.

— A sołtys Maruśkę puszcza innemu. Bo zanim wrócisz, to jej cnota całkiem pajęczyną zajdzie... Modlisz się czy nie modlisz?

— On jej nie wyda...

— Dobra — mówi Józek. — Dobra... A jak Maruśkę samą zaswędzi i nie zechce dłużej czekać?

Więc Michał wzdycha, siada w kucki i patrzy w okno. Obaj patrzą w okno, a za oknem deszcz pada. Tylko Józek jest czerwony i widać, że się śmieje, a Michał pobladł.

— Boże broń — mówi — Maruśka czeka.

— Więc Maruśka śpi z chłopem, sołtys wódę rżnie, forsę ci zabrali, a ty się mod...

— Nikt nie widział, jak to się stało, bośmy się wszyscy w kułak śmieli. Ale chyba Michał tak z nagła podskoczył i zasunął Józkowi łbem podbródkowego, bo tylko szczęka klapnęła i Józek był gotów, na podłodze.

A Michał stoi, głowę trze, patrzy na nas, patrzy na Józka, że mu krew z gęby wali. Więc idzie do wiadra, bierze kubek i leje Józkowi wodę na łeb. Potem bierze go pod ramiona i sadza na łóżku. Józek się kiwa, pluje na podłogę, grzebie za chustką, widać, że do dziesięciu leżał na deskach. Więc Michał otarł mu usta. I znów stoi, głowę trze, patrzy na nas, patrzy na Józka.

— Modle sia, synku — mówi — bo człowiek ma duszu nieśmiertelnu.

A Józek się kiwa, jakby to była prawda. I my milczymy. I nikt nic nie mówi. J a k b y t o b y ł a p r a w d a.

— Byliście wy kiedy u rentgena?

Patrzymy — a to o n siedzi w kącie i czyści buty. Jakby tu nic w ogóle się nie stało, siedzi i czyści buty.

— No więc — mówi — jak rękę wsadzisz pod ten rentgen, co widzisz? Kości, same kości. Co byś nie wsadził, widzisz kości. Żadnej duszy w tobie nie ma. Każden jeden wie od razu, że z niego trup na chodzie i tyle.

Niby to do nas powiedział, a niby do tych butów. Bo cały czas nos wściubiał w buty. Więc jak podniósł głowę i z o b a c z y ł, że Michał stoi z rozdziawioną gębą, to podrzucił włosy do tyłu, wyszczerzył zęby i powiedział do Michała:

— Na cholere mnie żyć po śmierci, proszę księdza proboszcza?

I każdy się roześmiał.

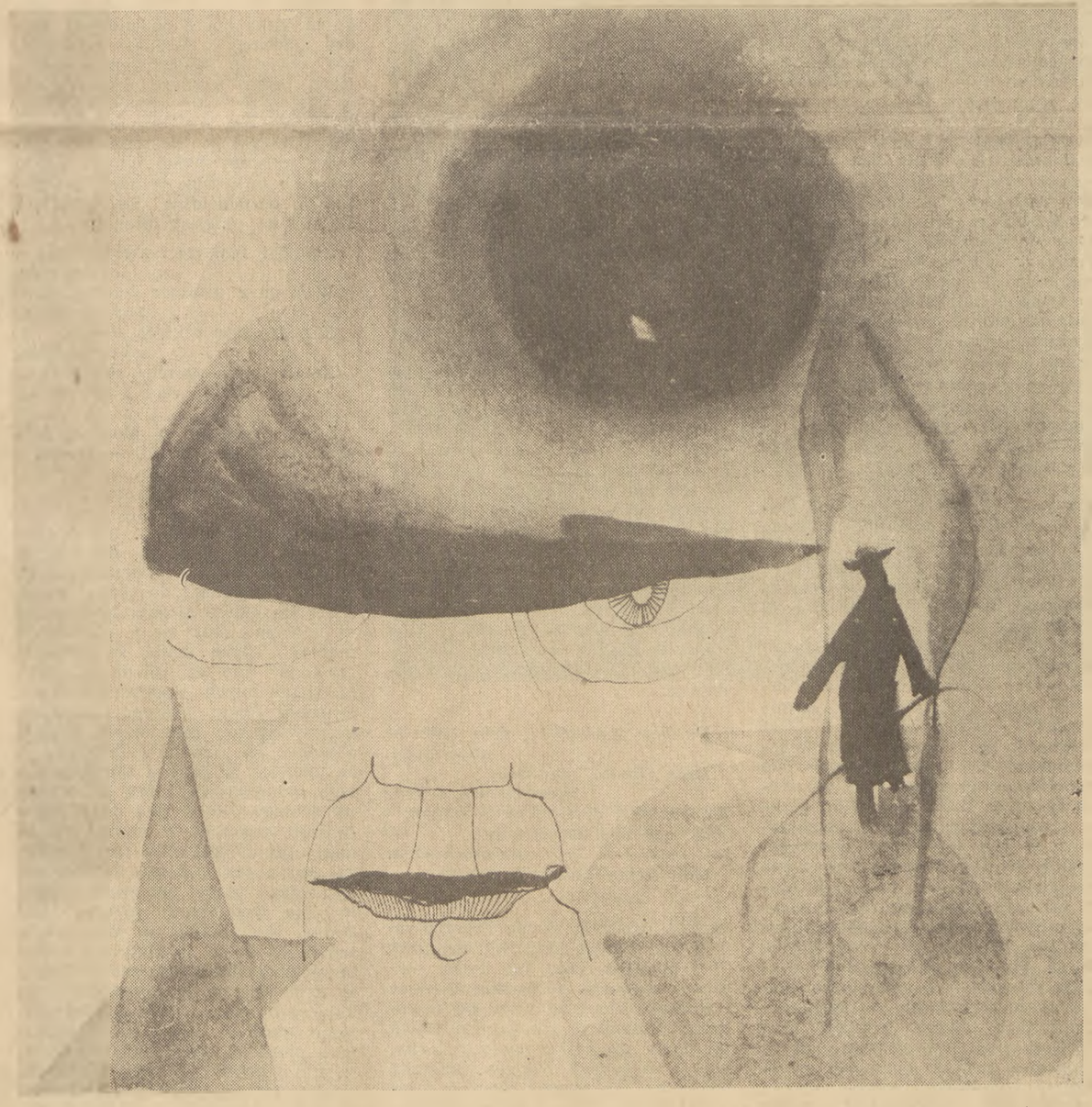

Rys. Gabriel Rechowicz

STENZ wyjął spod poduszki harmonijkę ustną i gra. On bardzo lubi grać na tej harmonijce, choć siostra mu nie pozwala. Więc gra cicho, żeby nie usłyszała. I oczy ma całkiem przymknięte. Dobrze mu wychodzą takie różne kawałki, takie śląskie pieśniczki i wtedy się śmieje i mruży oczy. Taki szczurek. Ale dziś ma oczy zamknięte, bo gra Serenadę Schuberta. A to jest bardzo smutna muzyka, choć o miłości. I mój ojciec też ją lubił, najbardziej ze wszystkiego. Więc kupiliśmy mu na imieniny tę płytę, a brat wynalazł duże tekturowe pudło, płytę wsadził na spód i — żeby była heca — napchał pudło aż po wierzch papierami. I ojciec te papierzyska po maleńku wyjmował i uśmiechał się, ale widziałem, jak się boi, że to głupi kawał, że na dnie nic nie będzie albo będzie para skarpetek czy mydło do golenia. Więc się zdziwił okropnie, że była płyta. Obracał ją w rękach tak i siak, chrząkał, potem wyjął płytę z koperty, usiadł, położył ją na kolanach, znów chrząkał i nie patrzył na nas. Aż pokazał palcem na czerwoną nalepkę i powiedział: „Chodź no tu, Paweł. Przeczytaj." Umiałem napis na pamięć, ale udawałem, że czytanie to trudna sztuka i muszę się zastanowić. Dopiero jak ojciec zaczął: „No i po co ty w szkole miejsce..." Odczytałem: „Franciszek Schubert. Serenada". — Zrobiło się cicho. Aż ojciec wstał, wetknął mi płytę w ręce, powiedział: „To się jeszcze okaże" — i wybiegł z naszej sutereny na parter do Zambrowskich, żeby pożyczyć patefon. Bo Zambrowski jeździł z dyrektorem cukrowni i nieźle zarabiał. Więc obsiedliśmy stół, ojciec nabił fajkę, a ja nastawiłem patefon. Brat się do tego palił, ale ojciec kazał mnie. A jak płyta przeszła, ojciec nastawił ją sam drugi raz. I chciał ją jeszcze raz nastawić, ale się zmiarkował i trzymając membranę w ręce powiedział do matki: „No, matka, co wolisz: „W krzyżu cierpieeenie..."—nie przedrzeźniał, ale tak ją dobrze naśladował, a potem szybko dotknął igłą płyty i z patefonu zabrzmiało: „Przyjdź, ja kocham cię... Ach, przyjdź, mój śnie..." Ojcu się wtedy nieźle dostało od matki, ale się cały czas uśmiechał i jak się wyfukała, powiedział: „No, widzisz, Pawła dobrze czytać w szkole nauczyli".

Więc pożyczaliśmy patefon od Zambrowskich. Aż kiedyś Zambrowscy pożyczyli płytę, na chrzciny. Ojca też na te chrzciny poprosili. Mój brat się śmiał, że stary poszedł tam tylko ze strachu, że mu płytę pobiją, bo przecie pić nie mógł, a jeść ledwie suchary, bo miał wrzód żołądka. I na tych chrzcinach nastawiono Serenadę i kilku takich, co to już nieźle sobie dali w gaz, zaczęło jej wtórować całą gębą. Aż u nas w suterenie szklanki na stole drżały. Ale nie dalej jak przy słowach: „Piękny wonny maj..." — patefon przestał grać i zrobiła się taka cisza, jakby tam na górze, na tych chrzcinach, wszystkich szlag trafił. Potem drzwi stuknęły i słychać było, jak ktoś idzie w dół po schodach.

Dzisiaj myślę sobie, że jakby Zambrowscy byli mądrzy, to by się wtedy tak śmiertelnie na ojca nie obrazili. Bo to jest bardzo smutna muzyka i nie nadaje się na chrzciny. Tak jakby człowiek zamiast płakać — śpiewał. Jakby coś gdzieś zgubił i nie mógł odnaleźć, i wiedział, że już nie odnajdzie. Ale się obrazili i ojciec więcej tej płyty nie zagrał.

Bo jak brat kupił patefon, ojca już dawno nie było. Zresztą brat grał same dżezowe kawałki, dopóki go nie zamknęli. A potem matka sprzedała wszystkie płyty na adwokata i patefon też sprzedała. Zostawiła tylko Serenadę, ale nie graną, bo jak ją przedtem namawiałem, żebyśmy puścili, powiedziała, że ojciec by się w grobie przewrócił, jakby wiedział, że my jego płytę gramy na złodziejskim patefonie.

A szczurek leży, czoło ma mokre od potu, oczy zamknięte i gra. Żeby nie szczurek, może bym już więcej Serenady nie usłyszał. Gwizdałem ją kiedyś... Żeby mi wtedy starczyło tchu... A szczurkowi starcza. Gra i gra. Bo Stenz gra, żeby się nie bać. Jak tylko zaczyna się bać, to od razu wyciąga spod poduszki harmonijkę. I jak się mniej boi, to gra te swoje śląskie pieśniczki, a jak więcej — najwięcej — to Serenadę. I od kilku dni gra Serenadę. Ale niech tam. Jemu się nie nudzi, mnie też. Bo zamykam oczy, słucham i widzę, jak siedzimy przy stole: ojciec z fajką w zębach, matka odświętnie ubrana, brat zadowolony z całej hecy, jakby nie wiedział, co z niego wyrośnie, i ja dumny z tego, że nastawiałem patefon, jakbym nie wiedział, co ze mnie... Bodajby tego szczurka jasna cholera!..

PO południu przyszedł Krzyś. Stenz drzemał. Krzyś prosił, żebym mówił głośniej, bo nie może się do mnie zbliżać. Mama mu zabroniła przychodzić do naszej separatki, ale on i tak będzie przychodził, choćby nie wiem co. I będzie siedział na stołeczku pod samymi drzwiami, bo zarazki tak daleko nie dolecą.

— Smutno panu?

— Aha.

— Mnie by tam nie było smutno.

(Dokończenie na str. 4 i 5)

MICKIEWICZOWSKI „ŻEGLARZ" JAKO „ANTI-RESIGNATION"

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

SPÓJRZMY na „Żeglarza" Mickiewicza ze szczególnego aspektu, z aspektu stosunku tego wiersza do twórczości Schillera. Aspekt ten wyłonił się przede mną w konsekwencji szczegółowych badań nad Mickiewiczowską recepcją Schillera i rolą w niej „Zbójców". Zanim zostanie opublikowane obszerniejsze studium na ten temat, dokumentujące moje tezy, muszę — dla uzasadnienia swego oświetlenia „Żeglarza" — ujawnić teraz niektóre z wniosków.

Mickiewicz, jak prawdopodobnie i Malewski, zdawał sobie sprawę z ideologicznego załamania Schillera, które dzieli jego twórczość na dwa okresy, a więc zdawał sobie sprawę z tego, czego nie dostrzegali nasi badacze wpływów Schillera na Mickiewicza, traktując twórczość autora „Zbójców" jako monolit. Warsztatowe osiągnięcia Schillera w całej jego twórczości były dla Mickiewicza nader ważkie, czego dał dowód korzystając z nich nie tylko w swej młodzieńczej twórczości, ale nawet jeszcze w cz. III „Dziadów". Inaczej ma się rzecz, jeśli idzie o treści ideowe. Mickiewicz przejmuje motywy ideowe twórczości Schillera z jej pierwszego okresu, z okresu rewolucyjnego (1781—1785). Szczególnie silna i owocna okazuje się Mickiewiczowska recepcja „Zbójców"; pierwszy opublikowany utwór Schillera, zarazem najbardziej buntowniczo-rewolucyjny, pomaga Mickiewiczowi w sformułowaniu jego własnej postawy anty-feudalnej, skierowanej zarówno przeciw feudalnemu absolutyzmowi, jak i przeciw profeudalnym, oświeceniowym „medykamentom". Dramat ten szczególnie zaważył na niecierpliwości Mickiewicza wobec zrywu patriotyczno-rewolucyjnego; przynagla do niego nie tylko w „Odzie do młodości" i nie tylko w „Pieśni Filaretów". Dawniejszy niepokój ideologiczny Mickiewicza, zlikwidowany także przy pomocy „Zbójców", ustępuje miejsca coraz jaśniej krystalizującej się świadomości patriotycznej, a to pod dyktatem zarówno sytuacji w kraju, jak i rewolucyjnych ruchów i nastrojów za granicą, potęgujących się wraz ze spotęgowaniem sił reakcyjnych. w okresie Świętego Przymierza. Własna droga rozwojowa ideologii Mickiewicza sprawia, że recepując Schillera pozostaje twórczo wierny treściom ideowym „Zbójców". Natomiast przejmuje krytycznie ideową zawartość jego późniejszej twórczości, podchodząc do niej z własnych pozycji ideologicznych, zapalonych — powtarzamy — o ogień „Zbójców". Korzystając z mistrzostwa całej twórczości Schillera — Mickiewicz inaczej percypuje twórczość Schillera z jego pierwszego okresu niż jego twórczość z okresu drugiego. Przejawia się to nie tylko w sposobie przejęcia poszczególnych wątków, obrazów, ujęć słowno-frazeologicznych, a nawet koncepcji fabularno-konstruktywnych Schillera, ale także w sposobie przekładu i przeróbek jego poezji. Ponadto — i to jest chyba najciekawsze — w tym, że Mickiewicz prowadzi ze swoim „wielkim pierwszym" dyskusję ideową, której fakt, a zarazem sens polemiczny podkreśla przez wyraziste wykorzystanie odnośnych utworów w ich treści i formie.

Polemiczna dyskusja Mickiewicza z Schillerem — z Schillerem z drugiego okresu twórczości w imię Schillera z okresu pierwszego — ciągnie się długo, bo aż po cz. III „Dziadów". W swojej postawie dyskusyjno-polemicznej z „drugim" Schillerem w imię wdzięczności dla „pierwszego" nie jest Mickiewicz w literaturze europejskiej odosobniony. Zaobserwować możemy analogiczne zjawisko w literaturze niemieckiej wszystkich trzech kolejnych fal rewolucyjnych w Niemczech, z których każda sciła się „Zbójcami" i buntowniczo-rewolucyjną poezją młodzieńczego Schillera. Występuje to zjawisko szczególnie wyraźnie w twórczości Arndta, w której szereg wypowiedzi stanowi przedziwny odpowiednik schillerowsko-antyschillerowskich wypowiedzi Mickiewicza.

Za jedno z ogniw wielkiej ideowej dyskusji polemicznej Mickiewicza z Schillerem z drugiego okresu jego twórczości w imię ideałów okresu pierwszego uważam „Żeglarza".

Sądzę, że wiersz ten — zajmujący tak szczególne miejsce w twórczości Mickiewicza, jawiący się badaczom prawie jako ideowa i artystyczna zagadka — jest w swej literackiej genezie przede wszystkim odpowiedzią na dwa wiersze Schillera powstałe w 1794 r., a mianowicie „Freigeisterei der Leidenschaft" i „Resignation". Wiersze te pochodzą ze schyłku okresu rewolucyjnej twórczości Schillera i zapowiadają już jego regres ideologiczny. Ich wzajemny związek każe je traktować jak „dyptyk" myślowo-artystyczny, w którym drugi wiersz jest i kontynuacją pierwszego, i jego ostatnim słowem. Te same przyczyny sprawcze złożyły się na powstanie obu wierszy. Złożyły się na nie społeczno-polityczne warunki, które zdecydowały o ideologicznym regresie Schillera, ideologa drobnomieszczaństwa, a więc kompromis niemieckiego mieszczaństwa z feudalizmem; złożyła się może i osobista sytuacja życiowa poety, z której impasu wyciągnęła lwa ryczącego: *„In tyrannos"* pomocna ręka „dobrych panów", działających w duchu wskazań oświeceniowych; złożyło się na nie wreszcie i gorzkie doświadczenie miłosne. Podobnie gorzkie doświadczenie miłosne stało się udziałem Mickiewicza w czasie powstania „Żeglarza". Inny jednak rezonans ideowy, rezonans zgodny z własną postawą ideologiczną, dał swym doświadczeniom Mickiewicz niż Schiller, wycofujący się już wówczas ze swoich pozycji rewolucyjnych.

Ponieważ „Resignation" było ostatnim słowem Schillera w jego wybuchu twórczym, który zrodził oba te wiersze — do „Resignation", szczególnie nawiązuje Mickiewicz w „Żeglarzu". Zresztą niesposób zaprzeczyć, że „Resignation" to arcydzieło w swoim rodzaju, arcydzieło, w którym do szczytu wyrazistości doszła charakterystyczna dla Schillera liryczna retoryka. Mickiewicz-artysta nie mógł być ślepy na to arcydzieło. I istotnie: sam mówił o „boskim" wierszyku „Resignation" i oświadczał przyjaciołom, że spróbuje go przełożyć, choć wątpi w powodzenie próby. Do tłumaczenia nie doszło. Doszło natomiast do polemiki z „Resignation", w kształcie podyktowanym przez wiersz Schillera. To „Żeglarz". Można by „Żeglarza" traktować jako niemal przetworzenie „Resignation" o odwróconym motywie ideowym.

Jeśliby szukać w tradycji szerokiego i głębokiego zaplecza dla takiego literackiego zjawiska — trzeba by tutaj sięgnąć do częstej w literaturze średniowiecznej praktyki, w której dopatrujemy się źródła nowych gatunków literackich w owej epoce. Mam na myśli owo charakterystyczne dla średniowiecza „anty-", polegające na sprzeciwie ideowym wobec pewnego utworu czy kompleksu utworów, a wyrażone celowo w formie, wątkach i obrazach właściwych typowi, do którego należy zaatakowany utwór. Za poetykę oświetlającą genezę gatunków „anty-" możemy uważać wstęp Hroswithy do zbioru jej dramatów. Wedle jej założenia wszystkie one razem mają stanowić jako całość Anty-Terencjusza. Jest ich zatem tyle, ile dramatów wedle mniemania średniowiecznego zawierała puścizna Terencjusza; w konsekwencji założenia każdy z dramatów Hroswithy jest komedią — oczywiście w jej średniowiecznym rozumieniu; każdy pisany jest prozą, bo w średniowieczu metr Terencjuszowy wydawał się prozą; każdy z nich powtarzał wątki Terencjusza i ukazywał Terencjuszowskie środowiska — ale fabule nadawał, wbrew Terencjuszowi, rozwiązania umoralniające, w duchu wskazań Kościoła.

Podobną postawę „anty-", polemizującą z sensem ideowym „Resignation", przy powtórzeniu jego rysów formalno-obrazowych i jego charakteru — wykazuje „Żeglarz".

WDZIĘDZINIE formalnej najbardziej uderzającym rysem „Żeglarza", którym nawiązuje Mickiewicz do „Resignation", jest jego forma wierszowa. Jej nowatorstwo na gruncie polskim i jej walory ekspresywne podkreślił Juliusz Kleiner. Wacław Kubacki przypomina, że jest to forma zastosowana przez Schillera w wierszach „Das Geheimnis der Reminiszenz", „Resignation" i „Graf Eberhard der Greiner von Würtemberg". W rzeczywistości typ wersyfikacyjny „Żeglarza" w swoich zasadach bliski jest tylko typowi wersyfikacyjnemu „Resignation". W obu pozostałych wierszach stosuje Schiller zwrotkę wprawdzie pięciowierszową, ale ukonstytuowaną przez regularną alternację wierszy o dwóch wymiarach (Gehelmnis: 10a, 10a, 10b, 10b, 6b; Graf: 8a, 6b, 8a, 8a, 6b). Dla „Resignation" charakterystyczna jest nie tylko pięciowierszowa strofka o regularnie rozłożonych dwóch rymach, lecz nieregularnie występujące różnozgłoskowe wiersze, pełniące swym różnym wymiarem funkcję ekspresywną. Od przeciętnej normy 11-zgłoskowca odchylają się poszczególne wiersze z jednej strony ku 12- i 13-zgłoskowcom, z drugiej ku 10-, 8- i 6-zgłoskowcom Mickiewicz stosuje te same zasady wersyfikacyjne, z tym, że jego norma waha się między 11- a 13-zgłoskowcem (stosunek 25 do 23), wychylając się raz ku 10-zgłoskowcowi, raz ku 8-zgłoskowcowi. Odmienny sposób realizacji tych samych zasad wersyfikacyjnych nie wydaje się przypadkowy. Nerwowa nieregularność Schillerowskiego wiersza odpowiada atmosferze niepokoju, niezdecydowania, atmosferze klęski. Większe wyróżnienie u Mickiewicza odczuwamy jako idące w parze ze spokojem wielkiej i trudnej, a ideowo zwycięskiej decyzji, której utwór ten jest wyrazem.

Te same zasady wersyfikacyjne w „Żeglarzu", co i w „Resignation" są — jak się wydaje — ze strony Mickiewicza wskaźnikiem zamierzonej łączności jego wiersza z tym właśnie utworem Schillera.

Nie tylko z „Resignation", ale i z „Freigeisterei der Leidenschaft" wiąże „Żeglarza" również podobieństwo typu lirycznego. Oba te wiersze są szczytowym osiągnięciem przysłowiowej retoryki lirycznej Schillera, której odbiciem wydaje się retoryczno-emocjonalno-filozoficzny ton „Żeglarza". Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy chcieli umieścić „Żeglarza" w jakiejś typologicznej klatce, znalazłby się on w ramach liryki refleksyjnej, w ramach tego, co Niemcy nazywają „Gedankenlyrik". Jednak charakter refleksyjny wszystkich tych trzech wierszy nie zabija w nich bezpośredniości wyrazu przeżycia osobistego, które stoi u ich fundamentu. U Mickiewicza jednak, co wynika z treści ideowej utworu, wyraz tego przeżycia ma konstrukcję dramatyczną, opartą na konflikcie i jego rozwiązaniu. „Żeglarz" przez swój dwoisty charakter: refleksyjny i czysto liryczny, w czym jest podobny do obu utworów Schillera, i przez dramatyczną konstrukcję żywiołu lirycznego, w czym jest od nich odmienny — to pierwszy utwór w literaturze polskiej podejmujący tradycję „Trenów", owego dramatycznie skonstruowanego poematu równocześnie lirycznie osobistego i filozoficzno-światopoglądowego.

Skrzyżowanie wyrazu doznania osobistego, którym jest zawiedziona miłość, z płaszczyzną myślowo-filozoficzną prowadzi w wierszu „Freigeisterei" do buntu przeciw Bogu, do zwątpienia jeśli nie w Jego istnienie, to w Jego dobroć. Bóg ukazuje się poecie jako tyran, jako okrutny wobec człowieka Nero. W rezultacie człowiek odmawia mu swojej czci i miłości. „Resignation" podejmuje myśl z „Freigeisterei", w przejmujący sposób ustawiając człowieka w sytuacji *„in extremis"*. U progu śmierci. Jest to sytuacja, którą Schiller raz już był pokazał w „Zbójcach", w scenie rozmowy Franciszka Moora z Moserem. Teraz jednak podchodzi do niej inaczej. I on — jak powiada — urodził się w Arkadii, i jemu dała natura prawo do szczęścia. Ale w młodości stawiono go przed wyborem: albo osobiste szczęście, albo służba wzniosłym ideałom, za którą miała zapłacić Wieczność. Poeta widzi zupełną rozbieżność drogi ku osobistemu szczęściu z drogą służby ideałom, pobłogosławionym w imię Wieczności. Teraz — pod naporem osobistego nieszczęścia — owa Wieczność wydaje mu się marą. Niemniej pozostaje faktem, że wybór został już dokonany. Dokonany lekkomyślnie. Mądrość informuje go, że kto raz już wybrał — a do wyboru zmuszony jest każdy — ten nie ma drogi odwrotu. Pozostaje mu — rezygnacja. Rezygnacja okazuje się rezygnacją podwójną. Z jednej strony — siłą konsekwencji wobec własnego wyboru — jest to rezygnacja z własnego szczęścia, z drugiej — jest istotną rezygnacją z ideałów młodości, których miałkość, zwodniczość, bezpodstawność metafizyczna jest dziś widoczna.

Du hast gehofft, dein Lohn ist
abgetragen,
Dein Glaube war dein
zugewogenes Glück.
Du konntest deine Weisen fragen:
Was man von der Minute
ausgeschlagen,
Gibt keine Ewigkeit zurück.

NA ostatnim słowie liryczno-refleksyjnego dyptyku Schillera położyła rękę nie tylko ówczesna sytuacja polityczna Niemiec i Europy, która zdawała się zawodzić buntowniczą gotowość młodych lat poety, nie tylko zawód miłosny, ale i usprawiedliwiająca ucieczkę od czynu we własne wnętrze filozofia Kanta. To Schiller-kantysta dostrzegł w tak ostrej postaci antynomię pomiędzy obowiązkiem a dobroczynnym prawem natury, pomiędzy apelem świata a naturalnymi pragnieniami człowieka. To także z kantyzmu wywodzi się u Schillera ton smutku, goryczy, pesymizmu. Ton taki wyda mu się nieodłączny od doli człowieka, czy podda się on jarzmu obowiązku, czy się odeń — w imię osobistego szczęścia — uchyli.

Ten Schillerowski ton goryczy, pesymizmu, rezygnacji — wywołuje sprzeciw Mickiewicza. A do dyskusji z Schillerowskim pesymizmem, z Schillerowską abdykacją z ideałów, z Schillerowskim wyznaniem bankructwa, teraz ma dopiero pełne prawo, gdy go zrównało w sytuacji z niemieckim poetą — osobiste nieszczęście. Do udziału w takiej dyskusji jako równi z równymi nie mają moralnego prawa ci, którzy nie przeszli przez ogień podobnych doznań. A zatem przyjaciele-filomaci, którzy mogą tylko teoretycznie sprzeciwiać się w imię swej ideologii, którzy by potem ulecieć. Przeszkody są mniejsze. Rzecz ma się inaczej, gdy

...komu Piękność całe pokaże
oblicze,
Potem śród drogi zdradliwa
odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc
zwodnicze...

W tym wypadku czeka żeglarza na drodze do celu — burza, która zagraża jego łodzi, ta sama burza, która innym tylko „błyska". Polega ona na buncie w imię praw jednostki, w imię osobistych pragnień. Taka burza powaliła na drodze „stromej i śliskiej" Schillera, nie powaliła Mickiewicza-żeglarza. Nasz poeta ukazuje dramatycznie w „Żeglarzu" cały proces duchowy, który stał się jego doświadczeniem, gdy odbiegła go Piękność. Ileż głęboko ludzkiej treści włożył on w wyraz bólu kreśląc sytuację tak pozornie beznadziejną, że wydającą się nie do przezwyciężenia.

Zamiast Piękności niebieskiego
wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć
pośród cienia;
Zamiast serc czułych, trącać
o pierś z lodu,
Zamiast jej rączek, chwytać za
ręce z kamienia...

I — logiczne w stosunku do przedstawionej sytuacji — słowa:

Zawód tak trudny!

Oczywiście mowa tu nie o „zawodzie", dla którego dzisiejszym synonimem byłoby „rozczarowanie", lecz o współbiegu do jednej mety, o którym mówił niegdyś Mickiewicz w wierszu „Już się z pogodnych nieblos". Teraz widzi, że warunki „zawodu" nie są równe dla obu przedstawionych współzawodników. Warunki tego, którego Piękność, ukazawszy mu całe swoje oblicze, odbiegła, są „trudne". Tak trudne, że jawi się aż pokusa samobójstwa, tego samobójstwa, które jak wykazał Kubacki, taką rolę odegrało w filozofii stoickiej, i które, jak to nam uprzytomnia „Werter" Goethego, był o tak logiczną klamrą zamykającą dzieje samotnego buntownika spod znaku *Sturm und Drang*. Niewspółrzędne jednak było samobójstwo z patriotyczno-rewolucyjną ideologią filomacką. Pokusę samobójstwa przezwyciężą Mickiewicz-filomata. Owo przezwyciężenie brzmi w „Żeglarzu" dwojako: jako przezwyciężenie siłą charakteru silnej pokusy w życiu osobistym i jako przezwyciężenie filozoficzne, zgodne z postawą patriotyczno-rewolucyjną, aspołecznej postawy filozoficznej negacji. Poeta postawiony wobec pokusy samobójstwa wzmacnia swoją odporność treścią intelektualną tego stanu psychicznego, który można by nazwać stanem „zwątpienia w zwątpienie".

SCHILLER niedwuznacznie, a z pasją wypowiedział się w „Resignation" przeciw majakom wiary w nieśmiertelność duszy.

Was heisst die Zukunft, die uns
Gräber decken?
Die Ewigkeit, mit der du eitel
prangst?
Ehrwürdig nur, weil schlaue
Hüllen sie verstecken,
Der Riesenschatten unserer
eignen Schrecken
Im hohen Spiegel der Gewissen-
angst;
Ein Lügenbild lebendiger
Gestalten,
Die Mumie der Zeit,
Vom Balsamgeist der Hoffnung
in der Kalten
Behausungen des Grabes
hingehalten,
Das nennt dein Fieberwahn —
Unsterblichkeit?

Wiara w nieśmiertelność duszy, tak jak i w Istotę Najwyższą, była — jak wiemy — artykułem doktryny rewolucyjnej tego historycznego okresu. Jest to zrozumiałe i od tej strony, że szczupłe wskutek ograniczeń klasowych kręgi rewolucyjne chciały zyskać jeszcze jeden środek nacisku na jednostkę dla wydobycia maksymalnej ofiarności i samozaparcia. W konsekwencji powtarzają się te dwa „metafizyczne dogmaty" w dotkrynach rewolucyjno-republikańskich, że przypomnimy chociażby stanowisko Saint-Juste'a. Te artykuły wiary różniły stanowisko rewolucjonistów od stanowiska materialistycznie zorientowanych profeudalnych filozofów Oświecenia. Nie tu miejsce na wykazywanie, że Mickiewicz już w 1819 r. zdawał sobie sprawę z wagi rewolucyjno-wychowawczej tych metafizycznych przesłanek i usiłował je instytuować dla światopoglądu filomackiego. I nie tu miejsce dla wykazania, jak trudno było Mickiewiczowi-wolterianinowi, wychowankowi Oświecenia, nagiąć się do potrzeb patriotyczno-rewolucyjnych tez światopoglądowych i jakim torem biegła w czasach wileńsko-kowieńskich jego wewnętrzna walka o zgodę na tezy metafizyczne wbrew skłonnościom materialistyczno-racjonalistycznym wrażonym mu przez Oświecenie. Etapem tej walki, etapem „zwątpienia w zwątpienie" wydaje się „Żeglarz". Odejście od dawnej postawy zaznaczyło się tutaj rezygnacją z rozumowej argumentacji. Poeta opiera się tu o doświadczenie wewnętrzne, skądinąd aprobowane przez kantyzm.

Co żyje, niknie — tak na mnie
świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznej
wiary nie wyzłębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie
zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmier-
nej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie
koła...

Literacki wyraz postawy „zwątpienia w zwątpienie" jest rzadki w ówczesnej literaturze. Oporny wobec materializmu, a pożądany dla kręgów rewolucyjnych deizm posługuje się raczej argumentacją racjonalistyczną. „Zwątpienie w zwątpienie" jako pewna postawa myślowa, nie zostało chyba dotąd wyrażone literacko silniej niż u Pascala, który wykorzystał je w swoim sławetnym „pari de Pascal".

A jednak motyw „zwątpienia w zwątpienie" znalazł się, i to w silnym uwypukleniu, w młodej, rewolucyjnej literaturze. Podjął go Schiller w „Zbójcach", a więc w utworze, który tak wielkie wrażenie wywarł na młodym Mickiewiczu.

Franciszek Moor, okrutne wcielenie absolutnego feudalizmu, a także wcielenie sycącego jego okrucieństwo oświeceniowego materializmu — rozkłada się wewnętrznie — u szczytu swego powodzenia — pod naporem wizji Sądu Ostatecznego, projekcji własnych wyrzutów sumienia. W konsekwencji wzywa pastora Mosera dla dyskusji, która by zmusiwszy go samego do sformułowania materialistycznych argumentów kontrreligijnych, rozproszyła jego wewnętrzny niepokój. Pastor świadomy istotnej intencji Franciszka dyskusji nie przyjmuje; pragnie zostawić Franciszka w dobroczynnych dla niego wyrzutach sumienia i „wątpieniu we własne zwątpienie". Stwierdza ten stan duchowy Franciszka w rozmowie z nim, w której uchyla się od racjonalistycznej dyskusji na temat istnienia Boga i duszy nieśmiertelnej.

(...) Ten Bóg wszechwiedzący, któ-
rego ty, szaleniec i złoczyńca wśród
jego stworzenia, chcesz zniszczyć,
nie ma potrzeby usprawiedliwiać
się przez usta prochu. (...) Wprawdzie dokazałbym cudów, gdybym do pokory przywiódł zaciętą złośliwość twoją; ale jeśli tak silne masz przekonanie, dlaczegoś mię przyzwał? Powiedz, dlaczegoś mię przyzwał o północy? (...) Ale własne twe serce, co przy tym dowodzeniu ze strachem o piersi uderza, kłamstwo ci zadaje. Tę pajęczą przędzę twego systemu rozdziera jedno słowo: musisz umrzeć.

Wyzywam cię, a to próbą będzie;
jeżeli w godzinie śmierci mocno sta-
niesz, jeżeli i wtenczas zasady two-
je nie opuszczą cię, wygrałeś; ale
jeśli w chwili skonania najmniejsza
cię drżączka opadnie, blada ci na-
tenczas, boś się oszukał! (...) Wi-
działem wielu podobnych nędzni-
ków, co prawdzie olbrzyma czoło
stawiali; ale w chwili śmierci złu-
dzenie nawet ulata. Stanę przy łożu
twoim, kiedy umierać będziesz, bo-
bym chciał widzieć tyrana konają-
cego — stanę i wzrokiem niewzru-
szonym oko twe pochwycę (..) I to
„nie" natenczas w wyjące „tak" się
przemieni. Wewnętrzny trybunał,
którego nigdy wątpliwym mędrkowaniem przekupić nie zdołasz, obudzi się wówczas i wyda sąd na ciebie.

Schiller w „Resignation" stawia się w sytuacji przedśmiertnej. Ale teraz zaprzecza wszystkiemu, co niegdyś wypowiedział ustami Mosera, ówczesnego swojego *porte-parole*.

Des Lebens Mai blüht einmal
und nicht wieder,
Mir hat er abgeblüht.
Der Stille Gott — o, weinet,
Meine Brüder —
Der stille Gott taucht meine
Fackel nieder,
Und die Erscheinung flieht.
Da steh' ich schon auf deiner
Schauerbrücke,
Erwürdige Geistermutter —
Ewigkeit.
Empfange meinen Vollmachtbrief
zum Glücke;
Ich bringt' ihn unerbrochen dir
zurücke,
Mein Lauf ist aus. Ich weiss von
keiner Seligkeit.

. . . . . .

Hier — spricht man — warten
Schrecken auf den Bösen,
Und Freuden auf den
Redlichen.
Des Herzens Krümmen werdest
du entblösen,
Der Vorsicht Rätsel werdest du
mir lösen
Und Rechnung halten mit
dem Leidenden.

W rezultacie — zwątpienie w wieczność, a na dalszą drogę życia — rezygnacja.

Mickiewicz sprzeciwia się zasadniczemu sensowi ideowemu „Resignation"; przeciwstawia mu nie racjonalistyczną argumentację, ale plon wewnętrznego doświadczenia, podobnego temu, które Schiller przedstawił w „Zbójcach".

A zatem przeciw ideowo załamanemu Schillerowi z „Freigeisterei" i „Resignation" zmobilizował Mickiewicz Schillera ze „Zbójców". Piórem Mickiewicza Schiller-rewolucjonista zwalczał Schillera z okresu ideologicznego regresu.

Nie tylko forma wersyfikacyjna „Żeglarza" jest sygnałem, że jest on wierszem dyskusyjnym wobec „Resignation". Tę samą rolę spełnia i czołowy obraz służący ukazaniu dramatycznego konfliktu w „Żeglarzu", obraz dwóch siostrzyc-przewodniczek łodzi. Już dawno zwrócił uwagę M. Mazanowski, że to obraz Schillerowski, ale związał go genetycznie z wierszem „Die Führer des Lebens". Nie zwrócono zaś dotąd uwagi, że zarówno motyw, jak i sam układ obrazowy w tymże wierszu mają swoją długą historię w twórczości Schillera. Ten sam motyw, przeciwstawienia „Sinnenglück und Seelenfrieden", odnajdziemy także np. w wierszu „Das Ideal und das Leben". Ale i motyw, i układ obrazowy jawią się w pełni i w powiązaniu właśnie w „Resignation". Nie wracajmy już do sprawy motywu i jego kantowskiego sensu. Przypomnijmy tylko, że poeta przeciwstawia w nim Prawdę, określoną od strony człowieka jako Nadzieję — Użyciu, rozkoszy, szczęściu. Rozterkę człowieka w jego sporze o wieczność rozstrzyga głos niewidzialnego Geniusza:

Zwei Blumen, rief er — hört es
Menschenkinder —
Zwei Blumen blühen für den
weisen Finder,
Sie heissen Hoffnung und
Genuss.
Wer dieser Blumen eine brach,
begehre
Die andre Schwester nicht.
Geniesse, wer nicht glauben kann.
Die Lehre
Ist ewig wie die Welt. Wer
glauben kann, entbehre.

Filozoficzne aut — aut prowokuje obraz dwóch siostrzyc-kwiatów, z których człowiek wybrawszy jedną — zrzeka się na zawsze drugiej. Jak wiemy Mickiewicz stawia filozoficznie sprawę inaczej; widząc dwoistość cnoty i piękności — nie widzi konieczności ich wzajemnego wykluczenia się w życiu człowieka.

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą
łodzi
Cnota i piękność, niebieskie
siostrzyce...

Chyba nie ulega wątpliwości, że ten alegoryczny obraz w „Żeglarzu" jest odpowiednikiem obrazowym schillerowskich siostrzyc - kwiatów, Nadziei i Użycia, z „Resignation". Przerzut Nadziei i Użycia w Cnotę i Piękność jest wyrazem sprzeciwu Mickiewicza-filomaty wobec indywidualistycznie pojętych obiektywnych ideałów. Zobiektywizowanie i uspołecznienie tych dwóch schillerowskich wartości daje w rezultacie właśnie ową Cnotę i Piękność, godnie sąsiadującą w patriotyczno - rewolucyjnej etyce filomatów z antyindywidualistycznie pojętą miłością i przyjaźnią.

JEST więc „Żeglarz" polemiką z postawą Schillera, który w swej późniejszej twórczości nie dochował wierności ideałom z okresu „Zbójców". Polemiką podjętą w imię tych właśnie ideałów, po swojemu sformułowanych i rozwiniętych przez filomatów, z Mickiewiczem na czele. I to jest nienajmniej ważny aspekt „Żeglarza". Polemika Mickiewicza w „Żeglarzu" z Schillerem z „Freigeisterei" i „Resignation" osiąga wysoki patos moralny dzięki temu, że nasz poeta przemawia z głębin przeżycia podobnego temu, które leżało u podstaw wierszy Schillerowskich. Dzięki temu zabiera głos nie tylko teoretyk górujący równowagę nad załamanym swym „wielkim pierwszym", ale praktyk podobnego cierpienia. Odrzucając głosy swych przyjaciół-teoretyków, czyni Mickiewicz wobec autora „Resignation" gest ochrony przed dyskusją z tymi, którzy nie przeszedłszy przez podobne doświadczenie prawa do niej zyskali. Tylekroć przez badaczy podkreślane osamotnienie Mickiewicza w „Żeglarzu" ma więc sens zupełnie inny niż samouświadomienie sobie przez poetę własnej osobowości. „Dwa na słońcach swych przeciwne bogi" mówią ze sobą o zasadniczych postawach z pozycji doświadczeń podobnych.

Na takim tle zrozumiemy dopiero cały głęboki sens — i osobisty, i filozoficzny, i ideowy — wielkiej repliki Mickiewicza na schillerowską rezygnację, repliki streszczonej w krótkim, męskim zdaniu: „Ja płynę dalej".

STEFAN J. KUROWSKI

INSTYTUCJE ROZWOJU SPOŁECZNEGO

PRAWA społeczne działają obiektywnie, podobnie jak prawa natury, ale różnią się tym od praw natury że działają *przez ludzi*.

Pokażmy to na przykładzie ostatnich przeobrażeń w architekturze. Szukając „drugiego" nurtu, szukając nowego kierunku w architekturze, który stanowiłby całkowite odcięcie się od współczesnej architektury krajów kapitalistycznych, architekci wpadli w formalizm, który wyraził się fetyszyzmem formy, oderwaniem się od techniki wznoszenia budowli, zepchnięciem funkcji użytkowej na dalszy plan, skierowaniem największego wysiłku architektonicznego (a więc i budowlanego) na budowle dekoracyjno-monumentalne i podparciem tego wszystkiego odpowiednio skonstruowanymi normami estetycznymi. Wszystko to przyniosło w konsekwencji straty społeczne, dające się obiektywnie ustalić. W pewnym momencie sytuacja się zmieniła: normy uznano za fałszywe, kierunek skrytykowano, rozpoczęto zwrot ku wartościom, od których się poprzednio oderwano. Pytanie polega na tym, czy w tej zmianie jest jakaś prawidłowość? Oczywiście, że jest, ale jedni ją formułują następująco: wypaczenia formalistyczne architektów doszły do takiego stopnia, straty społeczne poniesione wskutek tego osiągnęły takie rozmiary, że zwrot *musiał* nastąpić. Zwolennicy takiego tłumaczenia hołdują poglądowi, który można by określić jako jakiś „automatyzm społeczny". Jest według nich jakiś punkt, od którego, gdy doszły doń wypaczenia formalistyczne — *musiał* nastąpić ów zwrot.

Otóż rzecz jasna, że pogląd taki jest fałszywy. Stwierdzając to nie odkrywamy bynajmniej Ameryki. Nie ma takiego automatyzmu społecznego i nie ma takiego „punktu automatycznego zwrotu". Możemy bowiem sobie wyobrazić, taką sytuację. Formalizm w architekturze trwa dalej. Ludzie, którzy projektowali i stawiali budowle formalistyczne — upajają się nimi coraz bardziej, wierzą w ich piękno i zarażają tą wiarą innych. Formalizm umacnia się, czerpiąc siły z faktów dokonanych. Czy jest w tej wizji coś nienaturalnego? Nie. Historia zna przykłady większych nonsensów, które trwały przez pokolenia.

Fakty miały miejsce, lecz nie mogły „przemówić", gdyż nie istniały siły społeczne, które by przez swą działalność dały społeczny wyraz tym faktom, nie było formy społecznej, w której mogłyby one się ujawnić.

Czy w społeczeństwie socjalistycznym jest jakaś forma społeczna, w której mogą ujawnić się fakty wówczas, gdy w poszczególnych dziedzinach działalności społecznej zaczną brać górę nierealistyczne schematy i na drodze rozwoju społecznego, ujawnia się przeciwieństwa między obiektywną rzeczywistością a jej interpretacją? Tak, jest taka forma społeczna — jest nią krytyka. To, że w ciągu ostatnich dwóch lat nastąpił we wszystkich dziedzinach naszego życia ów zwrot ku realizmowi, to, że mogły przemówić fakty — zawdzięczamy krytyce.

Znaczenie krytyki dla rozwoju społeczeństw socjalistycznych i społeczeństw budujących socjalizm jest powszechnie doceniane. Znaczenie krytyki zostało podkreślone w tysiącach najbardziej oficjalnych wypowiedzi. Lecz jeśli ktoś by mówił, że krytyka jest „dźwignią", „siłą napędową", „orężem w walce z brakami i błędami" w społeczeństwie socjalistycznym i na tym skończył— ten zamknąłby łańcuch przyczyn na tym, co dzieje się w głowach ludzkich nie badając *społecznego uwarunkowania tej krytyki.*

Krytyka jest formą społecznego oddziaływania, przez które wypowiadają się siły społeczne — ludzie. Krytyka pozbawiona tego społecznego uwarunkowania jest nieskuteczna

Siły, w których obiektywizuje się krytyka, nie mogą być jakimiś siłami ogólnymi. Muszą to być siły konkretne, które *sytuacja społeczna*, które *interes społeczny* uczyni prawdziwymi, a nie tylko formalnymi, z urzędu, orędownikami tej krytyki.

Ale krytyka, która jako społeczna forma oddziaływania przychodzi do głosu wówczas, gdy między obiektywną rzeczywistością społeczną, a jej interpretacją następuje rozbieżność w wyniku uwikłania się tej ostatniej w nierealistyczne schematy, ta krytyka jest fragmentem znacznie szerszego zjawiska, jest fragmentem dialektycznego charakteru wszelkiego rozwoju. Wszelki ruch i zmiana dokonuje się jako wyraz jako forma uzewnętrznienia się działania sił przeciwstawnych. Wszelki rozwój społeczny dokonuje się jako wynik, jako forma i wyraz ścierania się przeciwstawnych sił społecznych. Również — rozwój społeczeństwa socjalistycznego.

Nie mają racji ci, którzy sądzą, że rozwój społeczeństwa socjalistycznego będzie się dokonywał w absolutnej harmonii, że społeczeństwo to będzie posuwać się naprzód, tak jak jadące obok siebie z jednakową szybkością dwa pociągi, których pasażerowie mogą podać sobie ręce, nie zauważając, że znajdują się w ruchu. Twierdzić tak, to znaczy wyłączać społeczeństwo socjalistyczne z podległości prawom rozwoju społecznego, rozwoju w ogóle, to znaczy dokonywać skoku z królestwa realizmu, gdzie rządzą prawa rozwojowe wszelkich innych społeczeństw do królestwa idealizmu, gdzie rządzą rzekomo jakieś inne prawa.

A więc społeczeństwo socjalistyczne rozwija się w walce przeciwieństw. I nie chodzi o to, by zamazywać te przeciwieństwa, by je klajstrować i wytwarzać w ten sposób sztuczną, mechaniczną jedność. Przeciwnie. Chodzi o to, by tym przeciwieństwom pozwolić ujawnić się, pozwolić im dojść do głosu, gdyż przez nie właśnie odbywa się rozwój, chodzi o to, by ich istnienie i działanie wykorzystać dla sprawy rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Cóżby się stało, gdybyśmy znieśli, przezwyciężyli raz na zawsze wszystkie przeciwieństwa? Doskonały spokój i harmonia, jaka by wówczas zapanowała, byłyby zbyt podobne do spokoju śmierci. Życie, ruch, rozwój — to twórcza dysharmonia bytu.

Wydobyć na wierzch przeciwieństwa pojawiające się w toku rozwoju społeczeństwa socjalistycznego i posłużyć się nimi dla sprawy tego rozwoju, to znaczy zobiektywizować te przeciwieństwa w postaci sił społecznych, gdyż tylko w tej postaci mogą one oddziałać. Jaki charakter mają mieć te siły?

Społeczeństwo socjalistyczne jest społeczeństwem bezklasowym. A zatem nie ma w nim walki klas, nie ma w nim takich przeciwieństw, które mają swe źródło w klasowej strukturze społecznej — nie ma w nim przeciwieństw antagonistycznych i nie ma w nim sił antagonistycznych.

A zatem, jeśli mówimy o przeciwieństwach w społeczeństwie socjalistycznym, mamy na myśli przeciwieństwa nieantagonistyczne. Jeśli mówimy o siłach społecznych, w postaci których przeciwieństwa te powinny się zobiektywizowac — mówimy o siłach nieantagonistycznych. Nieantagonistycznych, a jednak przeciwstawnych. Sądzę, że najlepiej można je określić jako siły *kontrarystyczne*. Ostatecznie więc teza nasza brzmi tak: aby przeciwieństwa nieantagonistyczne, które są *wyrazem i dźwignią* rozwoju społeczeństwa socjalistycznego mogły się społecznie zobiektywizować, muszą działać w tym społeczeństwie *siły społeczne kontrarystyczne.*

Ustrój socjalistyczny opiera się na jedności moralno - politycznej społeczeństwa. Czy wobec tego postulat działania sił kontrarystycznych nie jest sprzeczny z ustrojem socjalistycznym? Nie, nie jest sprzeczny. Posłużmy się tu analogią, która będzie jednocześnie przykładem działania i roli przeciwieństw w społeczeństwie socjalistycznym.

Jak wiadomo, produkcja socjalistyczna zorganizowona jest w przedsiębiorstwach prowadzonych według zasad rozrachunku gospodarczego. Oznacza to, że część pracy społecznej społeczeństwa jest wyodrębniona od reszty pracy społeczeństwa, a następnie w stosunku do tej części pracy prowadzony jest rachunek nakładów i wyników *niezależny* od rachunku całej reszty pracy. Dzieje się tak, mimo że cała produkcja socjalistyczna zorganizowana jest w interesie całego społeczeństwa. Nie koniec na tym. Okazuje się, że cała produkcja jest prowadzona tym lepiej, im ściślej poszczególne przedsiębiorstwa przestrzegają zasad rozrachunku gospodarczego, to znaczy im ostrzej przeciwstawiają wzajemnie jedne drugim swoje interesy, nie traktując swej odrębności gospodarczej jako formalności. Jeśli natomiast zamazują odrębności i przeciwieństwa, jakie między nimi powinny istnieć, jeśli traktują rozrachunek gospodarczy jako formalność „bo to i tak idzie do jednej kieszeni" wówczas produkcja socjalistyczna jako całość źle funkcjonuje. Przykład: jeśli państwowy dostawca i państwowy odbiorca porozumieją się ze sobą i jeden dostarczy, a drugi przyjmie wybrakowany materiał (jeden i drugi wykonają przez to swe plany), wówczas społeczeństwo otrzymuje produkcję złej jakości i ponosi straty. Jeśli jednak odbiorca będzie działał według zasad rozrachunku gospodarczego i zrozumie, że *w jego* interesie będzie leżało przeciwstawienie się dostawcy i wyegzekwowanie odszkodowania za niższą jakość (lub zastosuje inne środki), wówczas dostawca na przyszłość nie wypuści produkcji złej jakości, gdyż będzie obawiał się odbiorcy i społeczeństwo jako całość odniesie korzyść. Taki jest mechanizm działania sił przeciwstawnych w gospodarce, sił których działanie i przeciwdziałanie doprowadza do jedności interesu całej gospodarki na wyższym szczeblu społeczeństwa, jako całości.

Sprawa jest tak ważna dla funkcjonowania całej gospodarki, że niektórzy działacze gospodarczy myślą nad tym, jak wzmocnić owe „indywidualne interesy przedsiębiorstw", owe przeciwieństwa przeciwstawiające jedne przedsiębiorstwa drugim.

Podobnie ma się rzecz i w innych dziedzinach działania społecznego. Istnienie i ścieranie się przeciwieństw zobiektywizowanych w siły kontrarystyczne jest dźwignią i motorem rozwoju społecznego, to znaczy doprowadza do stworzenia nowych wartości społecznych. Ale na wyższym szczeblu ta walka przeciwieństw okazuje się jednością. Jedność moralno-polityczna społeczeństwa jest właśnie jednością na tym wyższym szczeblu.

Jedność moralno-polityczna społeczeństwa socjalistycznego nie może być jednością mechaniczną, to jest taką, która realizuje się tylko przy założeniu braku jakichkolwiek przeciwieństw lub też przy założeniu absolutnej likwidacji tych przeciwieństw. Stawiać taki postulat jedności to znaczy myśleć antydialektycznie. Jedność moralno polityczna społeczeństwa socjalistycznego jest jednością organiczną, realizuje się przez przeciwieństwa, w toku ich ścierania się. Takie są konsekwencje dialektycznego charakteru rozwoju społecznego.

Również i na gruncie nauki. Tak jak wszędzie, tak i w nauce rozwój może dokonywać się tylko poprzez ścieranie się przeciwieństw, tylko przez działanie sił, które są społecznym wyrazem tych przeciwieństw. Specyficznym wyrazem tych sił kontrarystycznych są szkoły w nauce. Nie ma rozwoju nauki tam, gdzie nie ma miejsca na szkoły. Taka jest dialektyka rozwoju. Gdy kroczymy w sferze prawd znanych — kroczymy jedną szeroką drogą. Ale gdy dochodzimy do prawd dopiero poznawanych, droga rozdziela się na kilka ścieżek. Procesowi poznania naukowego nie towarzyszy pewność jednej drogi, choć towarzyszy pewność jednej prawdy. Pamiętam, jak przed laty mawiał mój profesor obecnie rektor jednego z uniwersytetów: nauczyciel w szkole powszechnej wie wszystko, nauczyciel w szkole średniej ma już pewne wątpliwości, profesor na uniwersytecie ma już same wątpliwości. Taka jest dialektyka poznania naukowego.

Dlatego też rozwój nauki — to szkoły w nauce. Nie ma innego sposobu, by wiedzę ludzką posunąć naprzód.

*

PROF. Schaff w jednym ze swych artykułów, charakteryzując obecny okres powszechnej dyskusji pisze: „...w każdym z tych przypadków mówi się o sprawach takich, jak sztuka, nauka, literatura, ale idzie faktycznie o coś innego — o kwestię władzy, o charakter tej władzy".

Myśmy mówili głównie o nauce i kulturze, poza tym trochę o literaturze i sztuce i różniliśmy się z prof. Schaffem *w tych* sprawach i szło nam tylko *o te* sprawy. Natomiast *nie szło* nam o władzę, gdyż stoimy *na gruncie* tej władzy.

Dlatego też o wiele więcej miał racji prof. Schaff pisząc w tym samym artykule inne słowa i te słowa chciałbym powtórzyć jako własne: „Nasz spór toczy się o wspólne cele. Tak do niego podchodzą i tak go widzą i główni polemiści, i pozostali uczestnicy dyskusji... Dyskutując możemy sobie niejedno powiedzieć i niejedno zarzucić: idzie nam przecież o ujawnienie błędów hamujących nasz rozwój, o ujawnienie błędów w celu ich przezwyciężenia". (PK nr 44/1955).

Tak jest. Nasz spór toczy się o wspólne cele. Stoimy na gruncie wspólnego celu nawet znacznie szerszego niż cały ten spór, na gruncie budowy ustroju socjalistycznego w Polsce. I właśnie ta wspólność celów uprawnia nas do dyskusji. Gdyż dyskutuje się po to, by drugiego *przekonać*, a przekonać można na gruncie pewnych wspólnie uznanych wartości. Inaczej dyskusja byłaby bezprzedmiotowa.

W dyskusji tej chodzi o prawdę. Nie mam złudzeń, by sądzić, że miłość prawdy sama wystarczy do tego, by ludzie, gdy poznają prawdę, poszli za nią. Prawda ma jednak potężnego sojusznika w obiektywnej rzeczywistości, która ostatecznie zapewni jej zwycięstwo.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Dno nonsensu i cierpienia

WOJNA jest nie tylko masową zbrodnią, ruiną, rozwiązanym workiem, w którym kłębią się wszystkie nieszczęścia świata. Wojna jest również wielkim nonsensem, niezmierzonym idiotyzmem. Ośmieszenie głupoty, wyzwalanie ludzi od absurdów poprzez śmiech to jedna z najskuteczniejszych broni również i przeciw wojnie. Nie ma wesołych morderców. Jeżeli historia i literatura mówią nam o beztroskich zbójcach, to albo ich wesołość była udana, albo nie byli oni prawdziwymi zbójcami. Najwięksi rzeźnicy ludzkości mogli mieć nawet wysoce rozwinięte poczucie humoru, ale nie znaczy to, by byli ludźmi pogodnymi, w każdym razie nie lubili, jeśli takie poczucie humoru posiadali inni. A więc bombardując satyrą, ironią, śmiechem absurdalną ponurość wojny, uprawia pisarz najszlachetniejszą propagandę — propagandę ocalenia świata. Tu nie chodzi o tchórzliwy pacyfizm; uznanie bezsensowności wojny i jej zbrodniczego absurdu nie oznacza przecież zarzucania obrony, a nawet zrezygnowania z ataków. Ale atak prowadzić musi nie tylko do złamania konkretnego przeciwnika, lecz przede wszystkim do zlikwidowania istoty zła, do uniemożliwienia wojen.

Ośmieszenie wojny to nie tylko odsłonięcie jej niezmierzonego głupstwa, to także jej odromantycznienie. Bohater romantyczny nie będzie nigdy śmieszny. Nawet gdyby robił rzeczy, które po upływie lat wydadzą się nieważne, często mało sensowne. Zawsze natomiast śmieszne będzie wszelkie małpowanie romantyzmu, wszelka jego karykatura.

Ośmieszenie nonsensu wojny i jej odromantycznienie znajdujemy w dwóch komediach, które ostatnio powróciły na sceny warszawskie. „Żołnierza i bohatera" Bernarda Shaw — komedię „antyromantyczną", którą wystawia obecnie Państwowy Teatr Ludowy — oglądała warszawska publiczność po wojnie już w roku 1947. Graną w Teatrze Współczesnym komedię T.A. Breała „Huzarzy" widzieliśmy podczas Festiwalu w wykonaniu zespołu Jacques Fabbri. Obydwie sztuki powinny by się różnić tak zasadniczo, jak różnią się indywidualności ich autorów, czas powstania, założenia artystyczne, adres społeczny. Przysłowiowy sarkastyczny dowcip Shawa, zaznaczający pewien dystans pisarza wobec świata ożywionego w jego sztukach, skoncentrowanie uwagi czytelnika lub widza na subtelnościach nie zawsze subtelnego, lecz zawsze mistrzowsko prowadzonego dialogu — odbija od barwnego, krzykliwego, niemal jarmarcznego chaosu wydarzeń i sytuacji piętrzących się w komedii Breala. A jednak są to utwory bardzo do siebie zbliżone. Breal swoją sztukę o świetnie, mimo pozoru zamieszania, skonstruowanej akcji komediowej nasyca nie tylko żywym humorem

„Huzarzy" A. T. Breala. Odsłona II

Fot. I. Myszkowski

sytuacyjnym, lecz także intelektualnym dowcipem. Shaw, jakby pragnąc odetchnąć po kostycznej atmosferze „Procesji Pani Warren", sięga po barwność egzotyki (Bułgaria dla przeciętnego Anglika, to kraj bardziej egzotyczny niż Afryka Równikowa), tworzy sytuacje i postacie niemal operetkowe (Petkow, Saranow). Ale i sytuacje, i sens utworów adresowane są do jego rodaków. Włączenie „Żołnierza i bohatera" do zbiorku utworów „Miłych" nie oznacza wcale, by te sztuki nie mówiły odbiorcy rzeczy dla niego niezbyt przyjemnych.

DNO NONSENSU

DNO jest zazwyczaj najlepiej widoczne, jeśli się spogląda nań z lotu ptaka lub też jeśli się po nim brnie. Ludziom pływającym po powierzchni wojen (przynajmniej działo się tak do niedawna) objawiało się ono nagle i często na długo lub na zawsze w nim grzęźli. Ale dziś bezpośrednie spotkania z wojną dotyczą niemal wszystkich, a więc dotknąć mogę i tych, którzy rozpętują wojenne burze z bezpiecznych pozornie wysokości. Niestety nie lubią oni wybiegać w przyszłość, poza horyzont jednej wygranej batalii. Do nich może przemówić tylko czynny protest ludzi, którym zapoznanie się z dnem wojny zagraża codzień. Dla żołnierzy i cywilów, a nie dla ministrów i przemysłowców nonsens wojny jest oczywisty, niemal dotykalny. Do zdrowego rozsądku żołnierzy i cywilów z krajów, których kierownicy nie uważają wojny ani za zbrodnię, ani za absurd — przemawiają przede wszystkim komedie Shawa i Breala.

Bo spójrzmy: zziajany, nieludzko zmęczony zbieg wdziera się przez okno do pokoju narzeczonej oficera wrogiej armii. Niewiele brakuje, by zastrzelił swoją przyszłą wybawicielkę lub by sam został rozsiekany przez bułgarskich żołnierzy. Ale ten nieszczęsny zbieg, już w drugiej odsłonie „Żołnierza i bohatera", pojawia się powtórnie w domu swego niedawnego przeciwnika, tym razem jako elegancki kulturalny oficer górujący nad gospodarzami nie tylko tym, że się częściej od nich kąpie. Sympatyczny Szwajcar kapitan Bluntschli, którego w obydwu sytuacjach celnie i wyraziście odtworzył Jerzy Pluciński — to człowiek, który wpakował się w wojenne awantury i tkwiąc w nich po uszy od kilkunastu lat zrozumiał i odczuł nonsens swojej sytuacji, bezcelowość swego udziału w masowej rzezi. Miał szczęście, że nie doświadczył tego tak dotkliwie jak jego przyjaciel, który upiekł się w płonącym chlewiku. Ale i tak mu wystarczy wojaczki. Szczególnie teraz, gdy odziedziczył ojcowskie hotele.

Niestety, niczego po nikim nie odziedziczył ani prosty huzar Flicot, ani jego przyjaciel Le Gouce. Śmierci unikają przypadkiem, przypadkiem również nie stają się zabójcami młodego żonkosia Pietra. Bezsens wojny polega również na tym, że rola przypadku wyrasta podczas niej ponad zdrowy rozsądek, ponad bohaterstwo i uczciwość. Już przecież major Saranow ze sztuki Shawa dzięki szczęśliwemu dla zbiegowi okoliczności wygrywa bitwę, zaś kapitan Bluntschli, również dzięki przypadkowej nieuwadze napastników, ocala swoje życie. A wróćmy do utworu Breala, który jest nie tylko beztroską komedią nawiązującą do ludowo jarmarcznych fars. To już sztuka wykpiwająca bezsens wojny i demaskująca jej okrucieństwo. Na scenie nikt nie ginie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Ale przez śmiech, komizm postaci i sytuacji przedziera się niby zgrzyt bagnetu o kość ludzką prawdziwe oblicze wojny. Duże znaczenie dla wydobycia tego właśnie tensu utworu będzie miała postać Kapitana. Dobre aktorsko przedstawienie „Huzarów" w Teatrze Współczesnym ustępowało w tym fragmencie spektaklowi zaprezentowanemu nam przez teatr Fabbri. Kapitan Stanisława Jaśkiewicza był tępym, bufoniastym brutalem, choć przy tym człowiekiem odważnym, tęgim zabijaką, co jednało mu podziw żołnierzy. Ale francuski aktor odtwarzający tę postać dorzucił do niej sporo chłodnego draństwa. Jego Kapitan stawał się przez to bardziej człowiekiem wojny, odkrywając jej tępotę wskazywał również na jej drapieżność.

Wojna żeruje na głupocie, bez głupców nie mogłaby się odradzać. To wszystko, czym wojna się żywi, wyrasta na pożywce głupstwa. Głupota w czasie pokoju bywa zjawiskiem przykrym, zawsze szkodliwym, może być przyczyną wielkich strat materialnych, powodem nieszczęść. Głupota w czasie wojny z reguły prędzej czy później staje się przyczyną czyjejś śmierci i być może dlatego jest wojnie niezbędna. O bohaterow bowiem, szczególnie w wojnach napastniczych, nie jest tak łatwo. Muszą ich więc zastąpić odważni i otępieni głupcy, a tych na ogół nie brakowało Cóż może być głupszego od postępowania huzara

(Dokończenie na str. 7)

SEKRET

Rys. Gabriel Rechowicz

no, jakbym miał niedługo pojechać samochodem.

— Jakim znowu samochodem?

— Dużym i czarnym. W tej fabryce, gdzie pan pracował, to będą robić samochody, nie?

— Tak. Samochody.

— Duże i czarne?

— Nie, skąd, zielone.

— Ale z budą?

— Z budą.

— Tylko że nie czarne?

— A na co komu czarne ciężarówki?

— Ja nie mówię o ciężarówkach, ja mówię o samochodach z budą.

— No tak, z budą...

— Więc jakby pan niedługo jechał, to by mnie pan zabrał ze sobą?

— No, jakbym jechał, to czemu miałbym cię nie wziąć?

— Na pewno pan mnie zabierze?

— Na pewno.

— Słowo?

— Słowo.

— No, to ja panu przyniosłem nowy ołówek. Kładę tu na stołku i jak wyjdę, to pan go sobie weźmie.

Kiedy zamknął drzwi, wziąłem ołówek i wlazłem z powrotem do łóżka. Czułem, że się pocę. Stenz otworzył jedno oko, zamrugał i powiedział:

— ... jeeerrrona. On myśloł o karawanie.

— Śniło się coś panu, panie Stenz?

Odwrócił głowę, popatrzył na mnie, podniósł się na łokciu.

— A może się i śniło — powiedział. — Może się śniło... Tak.

SŁOŃCE dziś świeci od rana. Widać sosny. Góry też widać. Pierwszy to dzień tej jesieni, żeby było tak jasno i żeby deszcz nie padał. Wiem już na pewno, że mi żeber wycinać nie będą. „A na cholere mnie żyć po śmierci...“ Patrzę na te sosny i na góry, i na chmurkę jedną, drugą. I myślę: zamykam oczy i już jakbym nie żył. Nie ma ni gór, ni sosen, ni chmurek. Kto nie widzi, ten nie żyje. Co ja piszę? Co ja piszę?

On był mądry. Żeby nie był taki mądry, to może by Zośka za nim nie poszła. Bo jak już co powiedział... Jak z tym rentgenem. Siedzi, czyści buty i powie tak, że mu nie zaprzeczysz, bo widzisz, że przy nim racja. Powie na przykład: „Z modlenia chleba nie będziesz jadł. Modlenie, uważasz, dobre dla pasibrzuchów. Ot, weź choćby w Krakowie przed wojną... W kościele co niedziela, pełno: futra, szampany, czapy i lisy. Kamieniczniki, mecenasy, szambelany. Parlefranse i dominuswobiskum. A u nich bracie ludzie w suterenach mieszkali. Krzywiceś, bracie, miał od urodzenia, a twój stary — reumatyzm...“ „Wrzód żołądka“ — poprawiłem. Zgoda, i wrzód żołądka. Albo znowu powie: „Weźcie, chłopaki, na zdrowy rozum, po co też ludziom Bóg? Póki człowiek był głupi a wszystkiego się pietrał — lasu i wody, ognia i nocy — kombinował se, zdałby się Bóg, żeby mnie, kurwa, bronił...“

Ale po co — pytam się — po co on był taki mądry?

PRZYSZEDŁ list od matki, pisany przez Kazię-szwaczkę. Litery takie okrągłe jak sama Kazia.

Matka Przenajświętsza ma mnie mieć w swojej opiece. Pranie robiła, bo gospodyni wydaje córkę za mąż. Kawaler, nie powie, elegancki. Uczy się na weteryniarza. Widać bogaty z domu, bo płaszcz u niego z gabardiny, czysty zamsz na butach, skarpetki jedwabne w prążki. Z koloru te same, co u naszego Stefana. Biedny on na tym Zamku. A chudy jaki, kapota na nim wisi, a włosy mu znów do samej skóry obcięli... Gospodyni zadowolona bardzo. Jak oddawała pranie — samej bielizny panienki osiemnaście kawałków, a obrusy, a poszwy, a prześcieradła i wsypy — to poprosiła ją gospodyni do kuchni na arbatę. Z zięcia będzie pan całą gębą. Aby się tylko czasy zmieniły. Córka mu w wianie wnosi masarnię. Teraz to ona pod zarządem państwowym, ale wszystko to fiume, bo ci złodzieje powyzdychają bez prywatnej inicjatywy, jeszcze przyjdzie koza do woza. A jakie będą wtedy kiełbasy i szynki! A jaki zięć zrobi majątek. Wiadomo — weteryniarz. I arbaty jej jeszcze dolała, mocnej jak smoła, angielskiej. Pani to dobrze pamięta, pani Rosicka, jakie to w naszym sklepie przed wojną były r o z m a i t o ś c i. — Też, mogłaby nie pamiętać. Dopchać się było trudno. — Ale dla pani co sobota dziesięć deka zawsze odkładałam. — Bóg zapłać, paniusiu... — I kredyt pani u mnie miała otwarty.

Tak. Nasza gospodyni to dobra kobieta. Przedwojenne wychowanie. Nie to, co te dzisiejsze wywłoki z awansu. Mieszkanie jem zaraz dają. A jak się taki chłop z babą wprowadzą, sami aktywiści, to nawet nie wiedzą, po co jest wygódka. Za stodołę jeden z drugim chciałby biegać za swoją potrzebą. Tak i powiedziała naszej gospodyni, że święte jej słowa względem tej masarni. Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Z tych pieniędzy, co za pranie dostała, zrobiła paczkę dla Stefana. Dwa kilo jabłek, funt cukru, szklanka miodu, trzy piklingi — pamiętasz, synku, jak on za tymi piklingami? Pamiętam — papierosów pięć paczek, dwie chustki do nosa, wełniane skarpetki i kalesony ciepłe, dobry gatunek. Mało nie płakał, jak ją zobaczył. Bo on już na drugi raz nie będzie taki głupi. On się urządzi tak, jak Paweł. (Tak jak ja?) On się też gdzieś kadekuje, może nie w Sanatorii — bo ona mu opowiadała, com opisał, jaki w tej Sanatorii konfort: śniadanie do łóżka przynoszą, czysto, napchasz sobie pod plecy poduszek, pościel co tydzień zmieniają, świeża arbata — może w jakimś innym szpitalu, albo domu wypoczynkowym, bo on już wie, że socjalizm dba o ludzi pracy. I chce być człowiekiem pracy, tylko najpierw zachoruje, bo musi wypocząć po mamrze. I chwalił mnie, i mówił, że sprytny ze mnie facet i odwołuje wszystko, co na mnie naszczekał, kiedyśmy się ostatni raz kłocili. I nie pogniewam się, że te pieniądze, com jej w każden miesiąc przysyłał, poszły na paczki dla mojego brata, Stefana. Teraz się nie pogniewam, prawda? Na książeczkę nie było co odkładać. Mówią, że wojna będzie. A jej to, co ma, wystarczy...

Ona bo się cieszy, że mnie odesłali z tej budowy. Bo to odpocznę sobie i przyjadę do domu wypoczęty. Znajdę lepszą robotę, jestem chłopak zdolny, zarobić umiem. Jeszcze rok, dwa i Stefana wypuszczą — a może i prędzej, jak będzie amnestia. Wtedy będę pracować tylko na siebie. Ożenię się. Panny nie daleko szukać. Kazia-szwaczka ma na mnie oko. Ta spod piątego. Porządna dziewczyna i fach ma w ręku. A ona jeszcze będzie nasze dzieci niańczyć. Mam pamiętać, że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Chodzi co niedziela na grób ojca. Tabliczkę dała do odmalowania, bo zardzewiała, i teraz jest całkiem świeża. I modli się za Stefana, żeby go wypuścili, i dziękuje Bogu, że mnie jest dobrze w Sanatorium. Tylko czy ja chodzę do spowiedzi? Bo kto nie ma Boga w sercu — mówił jej ksiądz u Wizytek — ten nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego. Żeby nie Matka Najświętsza, to by mnie dawno na świecie nie było. Bo jak miałem cztery miesiące, zachorowałem na zapalenie płuc. Ojciec był akurat bezrobotny, a za jej stróżowanie starczało ledwo na zupę. Przyszedł młody lekarz, wypisał drogie recepty i powiedział, że on sam nic nie poradzi, że i tak nie bierze za wizyty, bo tylko co zaczął pracować. Więc ojciec biegał za zasiłkiem, ale takich, co biegali, było wtedy bardzo dużo. A ona wiedziała, że on nic nie przyniesie i modliła się tylko do Matki Najświętszej o pomoc. I pamięta jak dziś, że kiedy trzeci raz odmawiała „Pod Twoją obronę“, wszedł pan doktor z drugiego piętra. I tylko spojrzał na mnie, na recepty, wyjął dziesięć złotych i kazał jej w te pędy, lecieć do apteki. A jak wróciła i jak się mną zaopiekował, to powiedział, że chciał ją poprosić, żeby mu gabinet wysprzątała, bo ichnia służąca jest chora I za sprzątanie gabinetu policzył jej te dziesięć złotych. Czy pamiętam, co to za grosz był przed wojną? — Nie pamiętam. Więc mam pójść do spowiedzi. I pamiętać o Matce Najświętszej. Modlić się też, za swojego brata, Stefana, żeby już więcej nie grzeszył, i dziękować Bogu za to, że pozwolił mi zamieszkać w Sanatorii, gdzie — jak stało w moim liście — jest taki konfort i spokój, i odpoczynek dla ludzi przemęczonych pracą, gdzie mi wszystko podają do łóżka. Mam być zdrów i niech mnie Matka Najświętsza ma w swojej opiece.

DZISIAJ gorączka spadła, ale przez dwa dni byłem nie do życia. Taki mały krwotok, pestka — można powiedzieć, a jak człowieka potrafi wykończyć. Siostra Maria obkładała mnie lodem, a Stenz siedział cicho jak mysz pod miotłą. Tylko cały czas wodził oczami za siostrą Marią, a jak się nachyliła nade mną i widać jej było w dekolcie trochę piersi, to mu oczka zaświeciły. Kiedy otrzeźwiałem, bałem się, że siostra Maria znowu mnie zapyta o księdza, ale ona kazała mi się wyspać, nic nie gadać i o niczym nie myśleć. Dobra! Dobra. Ale mnie czasu tracić nie wolno, bo do myślenia jeszcze to i owo pozostało. Myślenie do końca jest w człowieku, żeby każden jeden mógł jak najwięcej zrozumieć, zanim go zakopią. A u mnie ze zrozumieniem nie wszystko jest po kolei. Wiem, że Bóg jest dla tych, co mają pietra przed śmiercią, ale w życiu nikomu On nie potrzebny, znaczy, że Go nie ma, bo jak ma być tylko po to, żeby człowiekowi łatwiej było umierać — to na cholere mu taki Bóg. Jakby Bóg naprawdę był, to by każden człowiek wiedział, jak żyć. A czy moja matka wiedziała? Modliła się codzień, a kadzi tej paskarce pod przedwojenne r o z m a i t o ś c i! A Stefan? A ja... Mój ojciec, on jeden mógł wiedzieć, bo w Boga nie wierzył. Ale choć mógł wiedzieć, nie mógł żyć tak, jak chciał. I dlatego był u ojca, jak w Serenadzie, ten żal. Jakby coś gdzieś zgubił i nie mógł odnaleźć i wiedział, że już nie odnajdzie. A ja wiem, że śmierci nie trzeba się bać. I bardzo dobrze, że człowiek umiera...

A za grzechy Stefana nie myślę się modlić. Bo między nami jest taka różnica, że on udaje, że nie wie, jaki z niego drań. I krew mnie zalewa, że matka te pieniądze, co jej posyłałem, wszystkie puściła dla niego na ciepłe gacie i piklingi.

STENZ śpi i wreszcie mam trochę spokoju. Spi jakby nigdy nic. Odwrócił się na drugi bok, wymamrotał: „Księże faroszu, na borgis nie uredza... Sursumkorda“. I znów zajechało od niego gorzałką. On to tak nazywa: „gorzołka“, choć to jest zwykły spirytus. Pan Antoś, posługacz szpitalny, ten spirytus organizuje. Jak przychodzi do nas, to szczotkę opiera jednym końcem o noge u mojego łóżka, a trzonek wsadza pod klamkę u drzwi, że niby się zacięły, jakby kto chciał wejść. A potem wyciąga zza pazuchy płaską butelkę, na której jest wyraźnie wypisane dużymi literami: KROPLE WALERIANOWE. Szczurek aż się kurczy i oczka mu się świecą. A pan Antoś bierze butelkę pod światło, mruży oczy i powiada: „Sursumkorda!“ Odkręca korek, nadpija i podaje resztę Stenzowi. „Habemusadominum“ — mówi i obciera wąsy. Bo pan Antoś, zanim przyszedł na posługacza do Sanatorium, był parobkiem u księdza proboszcza. W czterdziestym siódmym „chłopcy z lasu“ stodołę proboszczowi z dymem puścili i popędzili ze sobą wszystkie świnie i krowy, i konie, a w pięćdziesiątym pierwszym ksiądz proboszcz ziemię pod spółdzielnię oddał, bo by go i tak podatkami zarżnęli.

Z początku wszystko szło po kolei, jak zwykle: pan Antoś szczotką drzwi zabezpieczył, wyjął butelkę, wziął pod światło. Szczurkowi oczka świecą... No a wtedy pan Antoś odchrząknął, oczy zmrużył i powiada: „Będzie ostatnia rata... Sursumkorda!“

Na to Stenz zrobił taką minę, jakby nie wiedział, o co chodzi, jakby nie pamiętał, że sprzedał swój kieszonkowy zegarek (Cyma, osiem kamieni) panu Antosiowi na raty płatne w spirytusie. Więc pan Antoś spokojnie odkręcił korek i już miał golnąć swój procent, kiedy Stenzowi to zamroczenie przeszło i jak nie wrzaśnie: „Doczkej, jeeerrronie! Dejno tu cało gorzołka!“

No i pan Antoś się obraził, wąsy mu stanęły dęba: „Naści, chulero — powiedział. — Udław się“. Wziął szczotkę i wyszedł.

Szczurek ciągnął za nim złymi oczami i jak pan Antoś odwrócił się w drzwiach — popatrzyli nagle na siebie: i byczek Boży czmychnął.

A potem Stenz siedział i gapił się w butelkę. Paznokciem odmierzał, ile wypić: najpierw tyciutko, potem kapinkę, i więcej, i jeszcze więcej aż do nalepki KROPLE WALERIANOWE. Ale coś sobie tam skombinował, że to będzie za dużo i na jutro mu nie wystarczy, więc znów podniósł palec pod samą szyjkę... Zmrużył oko. Przymierzył. „Pierzina — pisnął — taki zygorek... Cyma“. — I golnął sobie do dna.

Zwiesił z łóżka nogi, jeszcze chudsze niż moje, nalał wody z karafki, nadpił trochę i ze szklanką w ręce powiedział:

— Żeby moja baba choć na jedną noc przyjechała, ze mnie, pierzina, byłby inny człowiek.

Zamknął oczy, tchu zaczerpnął i zawiódł zapijaczonym głosem:

„W Bytomiu, miasteczku
przekrasnem,
W Bytomiu, miasteczku jest dom,
Tamech ja chodzował,
Kochankę nawiedzał,
Coch ją szczerze kochoooooł...“

Zrobiłem zdziwioną minę, bo mi się tak dziwnie, ni stąd ni zowąd przypomniało, że Stenz bardzo lubi, jak go siostra Maria dotyka i poprawia mu poduszki, i zakłada termometr. A raz kiedy się przewracał na bok, żeby mu mogła plecy natrzeć, to ją kuksnął ramieniem w piersi i ja myślałem, że to niechcący.

Stenz popatrzył na mnie i pokiwał głową:

— Ty sie ino śmioć poradzisz... Miołeś ty kiedy kobiyta? Rozumiesz ty, czamu chopu sie styska bez baby w łózku?

I nagle przeszedł na swoją zecerską polszczyznę. Bo mówił zawsze, jak mu ochota przyszła, to po śląsku, to po polsku.

— Rozumiesz ty, Pawełku, czemu człowiek siedzi na nocnej szychcie przy maszynce i niby ślepi w tekst i palcami po klawiszach lata, składa na petit, składa na garmond, składa na borgis... a myśli sobie i myśli, jakie to u niej cycuszki i dupcia jaka...

Popił wody. Znów łypnął na mnie okiem.

— Tobie sie widzi: Stenz sie uleloł i fanzoli... A jo ci padom: mosz szczyńście, chopoku, że ci sie to-to nie spomni... Bo jak raz se pojedziesz na wiyrch i na dół... To aże ci mrowce po krzyżach lotają, jak se pomyślisz, że wół nie wół musisz...

Wtedy weszła siostra Maria. I stała w białym fartuchu, biała kobieta. Dobra do łóżka. I Stenz patrzył na nią tak, jakby to była jego żona, jakby mu wolno było z nią zrobić, co tylko zechce, bo wstał i szedł do niej w pidżamie, i śmiał się, i wyciągnął ręce, i już nic chyba nie widział, tylko to, co mu się zwidywało na nocnej szychcie, przy maszynce. I w tym oniemieniu ją obłapił, głowę wtulił w jej piersi i powiedział takim szeptem, jakby mu tchu zbrakło: „Śniło mi sie dzisiok, żech był w niebie...“

Siostra Maria oderwała go od siebie, potrząsnęła nim raz i drugi, i powiedziała: „Boże, ten człowiek jest zupełnie pijany! Proszę mi pomóc, panie Pawle, odprowadzić go do łóżka“.

Ale zanim zdążyłem wstać, stało się coś nie do wiary. Stenz jakby kropli spirytusu nie miał w ustach, skłonił się głęboko przed siostrą i powiedział bez śladu tej swojej pierzińskiej gwary, gładziutko jak z nut albo z literatury:

— Najmocniej przepraszam... Niepomiernie przykro, że siostra tak źle zrozumiała. Chciałem tylko poprosić siostrę o sprowadzenie księdza z Panem Bogiem.

Jeszcze raz się skłonił, podszedł spokojnie do łóżka, położył się i odwrócił twarzą do ściany.

Siostra Maria zasłoniła ręką oczy i tak jej usta drżały, jakby się po cichu modliła. Im dłużej tak stała, tym bardziej mi się zdawało, że Stenz na pewno wyleci z Sanatorium. Ale siostra Maria westchnęła, podeszła do szafki i wzięła butelkę w palce.

— Więc to były krople walerianowe?

Jak tylko wyszła od nas, Stenz zachrapał.

WIĘC jeszcze raz się przekonałem, że Stenz mnie zazdrości. On myśli, że mnie łatwo, bo nie mam czego żałować.

Nie mam szczyńścia, szczurku! Nie mam tego szczyńścia... Tobie się dobrze teraz chrapie. O niczym nic nie wiesz i o mnie nic nie wiesz. To dobrze, tak ma być. Jakbyś był trzeźwy i na trzeźwo mnie zazdrościł, to ja bym może tobie powiedział, przypomniał, że każdy człowiek ma swoją skrytkę, taki sekret, o którym nikt nie wie, o którym nigdy nikomu się nie powie, i dla tego sekretu żadnemu człowiekowi nie trzeba zazdrościć. I radziłbym ci nie nalegać i nie dopraszać się, co to takiego — ten sekret. Bo niechbym tylko powiedział, to by ci takie mrowce po krzyżach poszły, że w sądny dzień byś o nich pamiętał. I zrobiłbyś się taki biały, szczurku, jak ta tutaj ściana. I zjeżdżałbyś stąd jak od zapowietrzonego. Ale śpij spokojnie. Bo w butelce nie ma już ani kropli i byczek Boży z pustego nie naleje i trzeba będzie odtąd na trzeźwo aż do końca, szczurku. Więc śpij spokojnie. Za dzień, dwa przyjdzie tu ksiądz farosz i da ci bilet do Królestwa Niebieskiego. Nie martw się, nie do pierwszego rzędu, ale na galerie zawsze się pan zmieścisz. Tam jest miejsce dla robotników, szewców i drukarzy — w klasowym Królestwie Niebieskim. Wcale nie jest za późno, panie Stenz. Będziesz pan jak ten najemnik w winnicy Pańskiej, co przyszedł, drań, na ostatku, a zapłacili mu jak pierwszemu. To pan mosz szczyńście, panie Stenz. I trzymaj je pan przy sobie. Bo są tacy, dla których nigdy nie będzie biletu ni wchodu nawet przez ucho od igły. I ci też nigdy o wchód nie poproszą. Bo to jest łatwo szukać rozgrzeszenia u Ojca Niebieskiego. Ale chciej pan sam siebie rozgrzeszyć! Tak na trzeźwo pomyśleć, coś ty człowieku zrobił, skąd się w tobie taka złość wzięła, skąd się w tobie wzięła taka nienawiść. Odważnie, szczurku. Na trzeźwo... I jak się zobaczy, że nie ma takiej kary, co by cię oczyściła, i nie ma takiej siły, co by ci darowała, i nie ma takiej mocy, co by cię mogła usprawiedliwić... I lepiej — tak jak słońce jest na niebie — żeby ciebie na ziemi nie było, i szkoda, że cię matka nie poroniła, żeś o tych dziewiętnaście lat wcześniej nie uświrknął na zapalenie płuc... To co byś wtedy zrobił? No, co byś zrobił? Modliłbyś się? Zwiałbyś, szczurku. Ot co. Gdzie nikt ciebie nie zna, gdzie nikt prawdy o tobie nie wie. I co? I przyjdzie siostra Maria i powie o tobie: biedny człowiek; a o tym drugim pomyśli: szkoda chłopca, taki młody. A to nieprawda, nie szkoda. Bo co tylko dobrego ten chłopiec zrobić może, to wysiąść jak najszybciej. Jedyny sposób, żeby było trochę mniej skurwysyństwa na świecie. Co pan na to powiesz, panie Stenz? No?.. Tak. Tak. Śpij spokojnie. I śmiej się, tak jak teraz, i niech ci się przypomina: W Bytomiu, miasteczku przekrasnem, w Bytomiu miasteczku jest dom... Mrucz tę pieśniczkę, mrucz. Spokojna głowa. Będziesz miał bilet do Królestwa Niebieskiego.

— Więc śpij, a ja jeszcze sobie pomyślę o tym i o owym.

...Drzwi były zamknięte na haczyk. koleżanki poszły do kina, a my siedzieliśmy na łóżku. Deszcz padał i było całkiem ciemno, że mówić nie było o czym. Zośka wzięła moją rękę. I uczułem pod palcami pierś. Całą Zośkę!.. I nie zrobiłem — nic. Nie całowałem jej, nie objąłem, nie przycisnąłem do łóżka.

Przyszedł czas i odżałować nie mogłem, żem jej wtedy nie dostał. Że nie przespałem się z nią. Bo wtedy by nie odeszła i wszystko byłoby inaczej...

...Spytałem Józka, co robić, bo wiedział, jak sprawy stoją. I w złą godzinę go spytałem. Akurat wykiwali go z tym mieszkaniem, ale jeszcze nikomu się nie przyznawał i całą złość dusił w sobie, żeby się ludzie nie poznali. I jak go spytałem, co robić, to popatrzył na mnie wilkiem, splunął i powiedział: „A bo ja wiem, co Oczy mu wykłuj czy jak. Gówno mnie to obchodzi“.

...Więc poszedłem z chłopakami na wódkę. I przysiadły się do nas dziewczyny, kurewki takie. Piłem jak każdy, w szklankach po musztardzie. A że nie opuściłem ani jednej kolejki i jeszcze postawiłem pół litra, to chłopaki się dziwili i powiadał jeden z drugim: „Toś ty kirus, Paweł, kto by to pomyślał“. A jedna taka m a n i a n a uszczypnęła mnie w udo i jak ją chciałem zwymyślać, objęła mnie za szyję, przyciągnęła do siebie i — „Cicho, chłopczyku, powiada, cicho. Pan jesteś równy facet“. Więc jak chłopaki zobaczyli, że ona mnie ściska, dawaj każdy swoją depache i idziemy na łąkę. A noc była jasna, lipcowa. I księżyc się turlał po niebie, to tu, to tam. Trawa miękka i wysoka. Więc chłopaki się układali po drodze, jeden za drugim. A ja słyszałem, jak się układają i jak dziewczyny chichoczą, i szedłem dalej, ale mnie pociągnęła nagle, obłapiła za szyję i upadliśmy w tę trawę. Więc zły byłem i odsunąłem ją, a ona zrozumiała, że chcę, żeby się rozebrać, bo zrzuciła szybko bluzkę i spódnicę. A wtedy zobaczyłem, że ma piersi krągłe takie i młode takie, jak u Zośki. Zatrząsłem się cały... „Zimno ci? — I złapała mnie za rękę. — Zimno? Chodź tu bliżej. Bliżej. Co się tak zabierasz jak do prawiczki“. Ugryzła mnie w usta i pokazała drogę. T a k a k u r w a.

PRZYSZEDŁ ksiądz do Stenza. Chudy taki i w białej sutannie. Katar miał i pociągał nosem. Więc wziąłem swój zeszyt na kolana i udawałem, że coś tam sobie piszę. A kiedy Stenz wyspowiadał się i dostał bilet do Królestwa Niebieskiego, ksiądz usiadł na stołku, wyjął małą książeczkę, poślinił palec i przewracał w niej długo, zanim zaczął czytać. A ja notowałem w swoim zeszycie to, co czytał, bo tym sposobem łatwiej było udawać, że coś tam sobie piszę. Nie wiem, czy dobrze słyszałem, bo ksiądz mówił cicho, jakby mnie nie chciał przeszkadzać. Więc najpierw przeczytał takie słowa:

„...A jeśli przyjdzie na niego jakie strapienie, choćby najbardziej był w nie uwikłany, prędzej go wyrwiesz lub pocieszysz... Albowiem nie opuszczasz tego, który aż do końca w Tobie pokłada nadzieję“.

I znów pociągał nosem, kartki przewracał. A szczurek leżał cicho z zamkniętymi oczami.

„Albowiem, opuszczeni, toniemy i giniemy — czytał znowu ksiądz — a gdy Ty wejrzysz na nas, podnosimy się i żyjemy... Niestałymi zaiste jesteśmy, lecz Ty nas utwierdzasz, stygniemy, lecz Ty nas zapalasz...“

I na powrót szeleścił kartkami i pociągał nosem. I jak tak siedział zgarbiony nad tą książeczką, chciałem go zapytać, czy sam w to wszystko wierzy. Czy nie znalazł sobie w życiu lepszej roboty niż agitowanie za Królestwem Niebieskim? Czy nie zwidują mu się te rzeczy, co Stenzowi się zwidywały, jak siedział przy maszynce?... Ale na nic by się to nie zdało. Bo on miał swoją książeczkę i trzymał się jej kurczowo i sam nic nie chciał powiedzieć, aby tylko książeczka przez niego mówiła:

„Opuść wszystko a znajdziesz wszystko, porzuć wszelką żądzę a znajdziesz spoczynek... Rozważaj to w sercu, a gdy to spełnisz, wszystko zrozumiesz...“

I poszedł i zabrał swoją książeczkę. A Stenz nic nie powiedział, bo zasnął.

PCHAJĄ tu we mnie jak w tucznika. A mnie się dawno od tego żarcia rzygać chce. Ale dzisiaj wszystko zjadłem i mam apetyt. Bo przeczytałem w gazecie — Krzyś ją przyniósł — o nowym wynalazku medycznym. Nazywa się to: przeszczepienie rogówki. Mężczyzna trzydzieści trzy lata, stracił wzrok w wypadku, nic nie widział na oba oczy i zrobili mu operację, to przeszczepienie, na razie w jednym oku i on tym okiem znów widzi: rozróżnia kolory i kształty, i mówi, że ż o n ę p o z n a j e. Więc jak to przeczytałem, leżałem jak nieprzytomny. I jeszcze raz wyrwałem Stenzowi gazetę z rąk, aż mnie ofuknął jak stodiobli. Ale tam stało czarno na białym — i to jest porządna gazeta, więc nie bujają. I uwierzyłem... Pomyślałem sobie, że nie we wszystkim miałem rację, bo nie ma takiej kary, co by mnie oczyściła, i nie ma takiej siły, co by mi darowała, i nie ma takiej mocy, co by mnie mogła usprawiedliwić... Ale jest taka sztuka, co może dużo naprawić i ta sztuka nazywa się: medycyna. I jeśli mnie ona na nic, bo mnie już nic nie pomoże, to j e m u ona pomoże na pewno. Więc poczułem jakby mnie ktoś ujął połowę ciężaru.

Postanowiłem zrobić wycinek z tej gazety i posłać na adres Zośki, na i c h adres. Stenz mnie wypisze kopertę, żeby Zośka charakteru pisma

Dokończenie ze str. 1

nie poznała, a Krzyś wrzuci do skrzynki.

Kiedy się trochę uspokoiłem, przyszło mi na myśl, że jeśli jest naprawa dla zbrodni, to nie jest taka wielka zbrodnia. Bo tylko wielka zbrodnia nie da się naprawić. Ale w naszych czasach świat idzie naprzód i co wczoraj było wielką zbrodnią, dzisiaj już nie jest. Bo przyszły inne, jeszcze większe, i tamtych małych nikt już nie pamięta. I raptem lekko mnie się zrobiło na sercu jak nigdy. Postanowiłem, że każę sobie wyciąć żebra, choćby nie wiem co, bo może jednak się opłaci. Bo może wygram rok! Nie — dwa! Nie — drugie tyle, drugie dziewiętnaście lat i zacznę wszystko od nowa. Jakbym się na nowo urodził. I taka mnie niecierpliwość wzięła, że chciałem już dzwonić na siostrę.

Ale wtedy zerwał się we mnie wielki śmiech. Wszystko się we mnie śmiało, bo w lusterku na szafce zobaczyłem swoją twarz. A na tej twarzy wszystko było zapisane od sutereny do tej nocy na łące i tej butelki, którą strzeliłem j e m u po oczach. I aż dusiłem się ze śmiechu, że nikt nic nie wie, i głupi Stenz nie wie, i siostra Maria, i Krzyś, i ksiądz nic nie wie, i moja matka... A ja wiem!.. Nic nie da się zacząć od nowa! Nic nie da się zacząć od nowa!

A szczurek blady cisnął dzwonek i piszczał: „Chopie, chopie, ulelałeś się abo co?!" Przybiegła siostra Maria i powiedziała, że mam dużą gorączkę. A mnie się łzy ciurkiem lały od tego śmiechu.

PUSTO i goło w tej separatce, muchy powyzdychały, jest tylko szklanka i karafka z wodą. Jak świeci słońce, to w tej wodzie pływa taki złoty piasek. Ale słońca już dawno nie ma, bo dzień i noc deszcz pada. Więc karafka jest całkiem zielona i woda zielona jak szkło, i wcale w niej nie ma złotego piasku. A jak był księżyc, to ta woda się tak błyszczała, tak błyszczała — zimne iskry z niej szły niby z lodu. Ogniki takie. Błysk. Błysk. A szklanka, kiedy ją postawić do góry dnem, zupełnie jak lodowy pagórek, śliska taka. A jak nie ma księżyca, to już nie widać nic...

jak je zamknąć i przydusić — może nigdy nie będą groźne. Tylko kto to potrafi? Jaka siła? Bo ja sam nie potrafiłem. I jakbym żył, byłbym jak ta padlina, więc dobrze, że umieram. I powinni mnie wrzucić do dołu z wapnem.

Nawet gdybyś był, Ty, co tak chętnie odpuszczasz skruszonym, czy potrafiłbyś odpuścić tym, co w Ciebie nie wierzą? Nawet gdybyś był, Ty, co tak chętnie odpuściłeś Stenzowi, jak się za nim wstawił twój agitator, który ciągnął nosem — czy potrafiłbyś odpuścić padlinie? Nawet gdybyś był, Dobry Boże, mnie nie odpuszczaj.

Bo co mi z tego, że Ty byś mnie odpuścił, jak ja sam sobie odpuścić nie mogę.

PRZYSZEDŁ list od matki. Nie czytałem. Czasu mało. Niech im się dobrze powodzi.

WŚRODKU nocy odezwała się harmonijka. Cichutko, żeby siostra nie dosłyszała, szczurek grał. A grał Serenadę. Więc jednak wciąż się bał, mimo wszystko się bał, nawet z biletem do Królestwa Niebieskiego... Biedny Stenz. Ale grać to on umie. Taką smutną muzykę. Bo to jest bardzo smutna muzyka. Jakbyś coś gdzieś zgubił, człowieku, i nie mógł odnaleźć, i wiedział, że już nie odnajdziesz... Nie umiałem Zośce powiedzieć, że ją kocham. Te jej włosy kędzierzawe od wiatru, ten jej nosek trochę poddarty i piegowaty, te jej oczy skośne i zmrużone. A dzień był wiosenny i dobre słońce świeciło na świeżą trawę, na młode kwiaty, na każdy kamyk i na nas. Więc tylko trzymaliśmy się za ręce. Usiedliśmy nad wodą i patrzyliśmy z daleka na budowę. A mówiliśmy o tym, jak urządzimy sobie mieszkanie. Że będzie radio i patefon, dywan nad łóżkiem i dywan na podłodze — ten drugi dla dzieci, żeby im się dobrze biegało — że będzie szafa dębowa i tapczan składany, żyrandol i lampka nocna z niebieskim abażurem. A kiedy doszliśmy do kuchni, zaczęła mówić tylko Zośka, a ja patrzyłem, jak to się pięknie w wodzie odbija jej perkalowa sukienka w kwiaty. I znów mówiliśmy, co Zośka będzie gotować na obiad: barszcz ukraiński, pierogi albo zupę pomidorową i bigos; rosół, złodziejskie kluski z serem albo ogórkową i gulasz z makaronem. A dzień wiosenny i dobre słońce świeci na świeżą trawę, na młode kwiaty, na każdy kamyk... Słońce na kwiaty i trawę i kamyk... Słońce, kwiaty, trawa, kamyk... kamyk, kamyk, kwiaty, kamyk... kamyk, kamyk, kwiaty... KAMYK... Biedny Stenz. To była dobra harmonijka.

NA łóżko po Stenzu na razie nie ma kandydatów, bo to jest separatka dla tych, co są na wymarciu. A podobnież więcej takich w Sanatorium teraz nie ma, zostałem się tylko ja jeden. Więc siedzę sobie, napchałem pod plecy poduszek i zeszyt trzymam na kolanach. Niedługo będę jak ten agitator Kraśko, bo już zapisałem trzy zeszyty. On zapisał osiem — i nic z tego ludziom nie przyszło. Ze mnie to samo. Bo ludzie mają swoje sprawy i mało kogo obchodzi drugi człowiek. Więc piszę, bo jakbym nie pisał, to bym zwariował.

Krzyś przyszedł po obchodzie, usiadł na stołku pod drzwiami i zapytał:

— A tego pana, co grał na harmonijce, to już nie ma?

— Nie ma. Wyjechał.

— A gdzie?

— Daleko.

— Bardzo daleko?

— Bardzo.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Nieprawda, ja wiem, gdzie on wyjechał.

— No?

— Na cmentarz. A harmonijkę to jego żona zabrała. I mówiła, że ci lekarze to złodzieje, bo wzięli mężowi zegarek... Smutno panu?

— Jakbyś zgadł.

— Niech się pan nie smuci. Pan też wyjedzie.

— Może...

— Na pewno pan wyjedzie.

Policzył coś na palcach i pokazał złożoną piąstkę:

— Za tyle dni. Pan doktor mówił.

— A ile to dni?

— Dwa, trzy.

— E, to jeszcze dużo czasu.

— Dużo — przyznał Krzyś — a ja tak chcę, żeby pan już wyjechał.

— Czemu?

— Bo mnie pan ze sobą zabierze.

— Nie. Nie zabiorę.

— Nie?..

— Nie będę mógł.

— To po co ja panu ołówki przynosiłem?

I byłby się rozpłakał, więc mu tłumaczyłem, że ja nic nie mam przeciwko temu, żeby on pojechał tym czarnym samochodem z budą, ale to naprawdę żadna przyjemność i na pewno lepiej jest jechać sanitarką, taksówką albo motocyklem. Tak, motocyklem najlepiej. Krzyś się zgodził, że najlepiej i jak będzie duży, to sobie kupi motocykl, ale tu w Sanatorium nikt motocykla nie ma, a sanitarką zawsze zwożą chorych, taksówki są daleko w mieście, więc pozostaje tylko czarny samochód z budą, bo w nim jest dziesięć miejsc, a on sam dużo miejsca nie zajmie, najwyżej tyle, co tu na stołeczku, a może i mniej, bo sobie tylko tak z brzeżka przykucnie. Co panu zależy? I jak panu jeszcze potrzeba ołówka, to przyniosę.

— Nie. Nie trzeba.

— A zeszyt?

— Mam. Wystarczy.

— No i czemu pan się na mnie gniewa? Ja pana lubię i jak panu teraz smutno, to ja tu będę częściej przychodził...

JAK tu strasznie... pusto. Muchy powyzdychały. Szklanka i karafka z wodą. Jakby tak trochę słońca, to by w niej pływał złoty piasek. Takimi smużkami, do góry. A szklanka by się mieniła na wszystkie kolory, bo jest rżnięta w dobrym szkle. A tak — to woda jest zielona. Bardzo zielona. Żeby choć księżyc, to by się woda tak błyszczała, tak błyszczała... A to jest zwykła woda, zastała i zielona. Mocno zastała. Bardzo zielona... Myślisz, że c i e b i e nie widzę? Myśli, że j e g o nie widzę. To on mnie nie widzi, bo ja j e g o oślepiłem. Ale ja jego widzę... Siedzi tu w rogu na łóżku i czyści buty. Może nie? Bo on zawsze siedział i czyścił buty. Więc i teraz je czyści... Przestań! Czasu mało. Słuchaj... Na cholere tyś odstawił t a k ą l i p ę?! Co ci przyszło do głowy? Byliby mnie do więzienia wsadzili, byliby mnie powiesili jak psa... Lepiej. — Kapujesz? — Lepiej... Myślałeś, że to niechcący? Że to tylko tak w złości, że mnie krew rozum zaćmiła? Nie, on wie dobrze, butelkę dawno trzymałem pod ręką, ta butelka miała mu zepsuć oczy i zepsuła. Bo ja tak chciałem za to, że mnie zabrał Zośkę. Więc czemu mówił, że pierwszy dał mnie w mordę, że mnie wyzwał od ostatnich, że leżałem na ziemi i zaczął mnie kopać... Co? Jakiej cholery ze taką lipę odstawił, a oni, ci durnie, uwierzyli.

Myślałeś, że jak ich tak zabajerujesz, to Zośka za tobą pójdzie, chociażeś ślepy? Z dobroci serca. Z litości? Zoska by i tak za tobą poszła, bo nauczyłeś ją tego, czego ja nie umiałem nauczyć — kochania. Więc?..

Żal mu było tych godzin, kiedy mnie uczył, że nie ma Boga, i ja się z nim zgadzałem? Ze byłem jego najlepszym kumplem i we wszystkim się jego radziłem i we wszystkim się jego słuchałem? Że mieliśmy pójść razem na kurs wieczorowy i na politechnikę i budować elektrownie na Wiśle? Żal mu było tego? Rzuć te buty!... Żal ci było tego?

No to jakiej cholery tyś to zrobił?

Nie z litości, bo wyglądałem jak koń, może nie? Sam czort by się nie poznał, że mam gruźlicę. Głupio mu było, że mnie Zośkę zabrał? Akurat! Wszyscy wiedzieli, że sama za nim poleciała, że jej ani nie namawiał, ani nie ciągnął, że nie mógł się od niej odczepić... I dopiero potem sam polubił... No?

Rzuć te buty! Muszę z tobą gadać. Czas leci. Podnieś głowę! Nie może na mnie popatrzyć... Nic nie widzi. Ty jesteś ślepy! Choćbyś chciał, nie wiem jak, Zośki nie zobaczysz. A ona ma oczy skośne, śliczne oczy, jak się śmieje, to mruży, a ona ma nosek perkaty i piegi, każda złota, a ona ma włosy kędzierzawe, coraz to inne, inne jak słońce świeci, a inne jak pada deszcz, inne wieczorem o zmroku, a inne przy elektrycznym świetle, inne jak siedzi w domu, a inne jak idzie ulicą w perkalowej sukience w kwiaty — i wszyscy ludzie się za nią oglądają, że taka śliczna dziewczyna idzie pod rękę z takim strasznym ślepcem... No, jakiej cholery żeś taką lipę odstawił?

Tak. Siedź i czyść buty, Co ty innego możesz... Buty czyścić, koszyki pleść, na harmonii grać, stukać o chodnik białą laską. A gdzie twoja elektrownia na Wiśle? Gdzie twoje światło dla ludzi? Gdzie twoje linie wysokiego napięcia? Co? Pamiętałeś ty o tym, nim żeś tę lipę odstawił?

Nie. Nie odchodź. Zostań tu. Siedź! Ja ci jeszcze coś przypomnę... Deszcz padał i forsy nie było i wszyscy się gzili w baraku, a spać było za wcześnie. I Józek chciał zrobić balona z tego Michała, co się modlił. A tyś wtedy powiedział... Pamiętasz?... Nie? Dziwne, bo ja pamiętam. Tyś wtedy powiedział: „A na cholere mnie żyć po śmierci!". Może nie, co? Twoje słowa: „na cholere mnie żyć po śmierci". I wszyscy się roześmieli. A umiałbyś ty zaśmiać się teraz z tych swoich słów, umiałbyś ty je powtórzyć? Niby żyjesz, a jesteś jak umarły, Trup na chodzie! Myślałeś ty o t a k i m życiu? Ty nawet śmierci po kolorze nie poznasz. Nikomuś niepotrzebny i wszystkim zawadzasz, i jeszcze cię Zośka puści kantem, i pójdziesz do domu inwalidów, i będziesz piótł koszyki. Będziesz sobie piótł koszyki. Koszyczek za koszyczkiem. Koszyczek za koszyczkiem...

Człowieku! Po coś ty to zrobił...

...Ja ci powiem jedno: żałuję, że ciebie nie zabiłem. Bo jakbym zabił, nie mógłbyś lipy odstawiać. I wszystko byłoby proste. Jeden jednemu zabrał dziewczynę. Jeden jednego zabił. Tego, co zabił, trzeba powiesić, a zabitego — pochować. I jakby mnie zasądzili, to bałbym się stryczka i bałbym się śmierci. Jak należy, po ludzku. A wiesz ty, że teraz to ja się śmierci nie boję, to ja na nią czekam, to ja chcę jej zaraz, już, zaraz, jak najprędzej, żeby uciec przed tym, żeś ty mnie...

Człowieku, co z tego?

PAN mnie powie, kto zbudował góry?

— Daj mi spokój.

— No i czemu pan się gniewa? Pan mi powie...

— Mama niech ci powie.

— Mama mówi, że Pan Bóg. A ja nie wierzę. Bo Pan Bóg jest stary, a jak młody, to dźwiga krzyż i stęka. Skały by nie uniósł... Pan mnie powie...

— Odczep się. Góry są góry.

— Ale kto je zbudował?

— Smarkaczu, czego ty ode mnie chcesz?

— Przyniosłem panu nowy ołówek.

— Na cholere...

— No i czemu pan się gniewa? Ja pana lubię. Pan mnie powie, kto zbudował góry?

— Tysiąc aniołów z Panem Bogiem do kupy!

— Pan nie buja. Anioły to są takie tłuste, małe dzieci, mniejsze niż ja. Pan nie buja, pan mnie powie...

— Słuchaj. Ja jeszcze wstanę... I ciebie wyrzucę za drzwi.

— A ołówek?

— Na cholere mnie twój ołówek.

— Ale na ten samochód, to mnie pan zabierze, prawda?

— Jak w tej chwili wyjdziesz za drzwi...

— Dobrze. Ale mogę za drzwiami poczekać?

— Na co?

— Na pana.

— Och, ty...

— Dobrze. Ja poczekam.

CO ja złego zrobiłem? Co ja komu złego zrobiłem?... Jest przeszczepienie rogówki... Czy o n zawsze czyści buty?... Coś ty zgubił człowieku?... Kogoś ty szukał, człowieku?... Przestań! Paweł Rosicki nie zasnął w Panu, s z c z u r k u.

Jerzy Krzysztoń

JACEK ŁUKASIEWICZ

Las zimowy

Od niedawna usypiam z oczyma otwartymi,
do samego bowiem końca pragnę widzieć las.
Odszumi on co wieczór swoją partyturę. Nie pomyli się nigdy

Zawsze jest biały jak pióra śnieżnych aniołów.
Jakże silna jest nasza tęsknota do anielstwa.

Od niedawna usypiam z oczyma otwartymi.
Las umyka wraz z podwójnym weronalem.
Piękne drzewa szepcą słowa poważne:
— Twój ból wyjmiemy jak pestkę z dna robaczywej śliwki,
Pozwolimy Ci się zakochać w śniegu.
On potężniejszy od nocy, świeci gdy nie ma księżyca.

Od niedawna usypiam z oczyma otwartymi.
Co bym robił bez lasu, bez drzew ogarniętych przez śnieg.
Ta pora broni się przed krzykliwością ptaków.
A barwy widzę tylko, kiedy zacisnę oczy.
Ból ucicha. Brodzę w kolorowych znaczkach
odklejonych z najpoczciwszych ludzkich listów.
Drzewom zawsze można zaufać.

Od niedawna zasypiam z oczyma otwartymi,
do samego bowiem końca pragnę widzieć las.

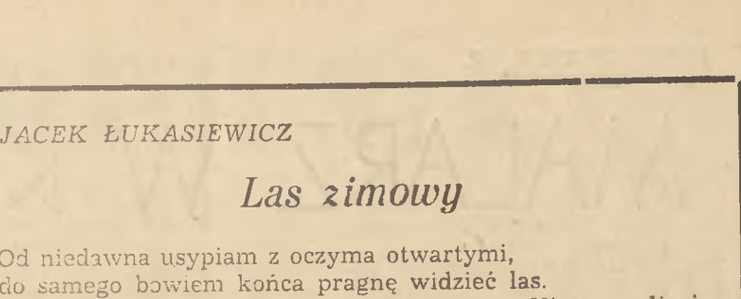

W Stuligłowach

Tadeuszowi Kłakowi

Jest takie małe miasteczko, nazywa się Stuligłowy,
każdy człowiek w nim pragnie być trochę barokowy.

Każdy, kto się poczuje i pełniejszy, i szerszy,
że zawsze w sobie nosi moc niespisanych wierszy,

że wieczorem jest pełen zapamiętań i przeczuć,
nie może spać, bo wzrasta po kądzieli i mieczu.

A rankami przechadza się pełen zamyślenia
po ogromnych i pięknych w tym miasteczku podcieniach.

A w południe przez powiek opuszczone firanki
na tarasach ogląda nagie Stuligłowianki.

Rozłożyste i bujne jak Pomona i Flora
pluszczą się chętnie razem w słońca złotych jęzorach.

A kiedy bzy do złoceń kościoła przybiegną,
wtedy sztuka rymowa jest już niepotrzebna.

Człowiek jest rozpierany i w tępej głowie szuka,
czy nie znajdzie się czasem jakaś bogatsza sztuka,

jakaś bardziej złożona, jakaś bardziej szalona,
w której słowem by była — stuligłowska Pomona.

I słowa lecą z krtani jak soczyste morele,
lecz zamiast ryku trąby rosną słowicze trele.

I nic się nie udaje, i nic już nie wychodzi,
z własnej myśli wysuwam się pomału jak złodziej.

Zamiast rosnąć w horyzont, pobrzękuje gitarą.
Ja barok stuligłowski raz tylko zwiedzam na rok.

By potem znów się zamknąć, pleśnieć i ramoleć.
ryć kozikiem mruk koci na redakcyjnym stole.

Spoczynek wieczny

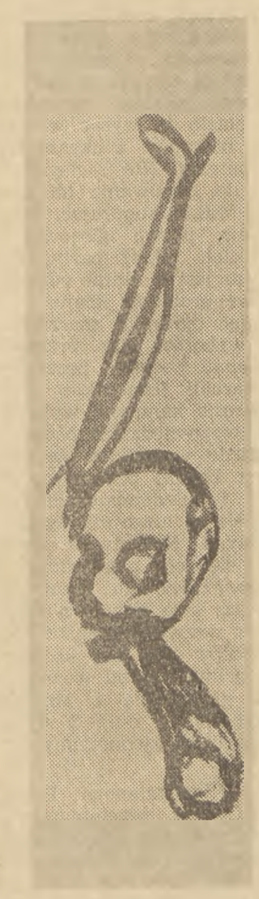

Kiedy wyzwolą mnie z łupiny
i będę jak szelesty piór,
wydłubią mnie z mej głowy, brzucha,
a czaszkę w ziemi mą posadzą.
Ja będę jak wilgotność mchu.
Wtedy pomodlisz się cichutko:
„Boziu, daj wieczne spoczywanie..."

Bo umarł. Rozpadł się w zielone
kosteczki przysypane piaskiem
i nikt nie powie o nim — „człowiek,
z którym możemy pogawędzić".
Będą mnie wirującym stołkiem
wywoływali wieczorami.
Ja przyjdę cicho do ich myśli,
i gwizdnie głośno w ich mieszkaniach.
I spadną lampy, trzasną drzwi.
Lecz ty mnie będziesz pamiętała:
„Boziu, daj wieczne spoczywanie."

I co mnie czeka — sąd, czy raj,
czy wykup będzie bardzo wielki,
czy Pan Bóg będzie z tablicami,
czy Matka Boska w chwale stanie,
nic się nie boję, bo ty sama
z głową wtuloną w ciepło jaśka,
w noc, w której trzeszczą czarne ściany
powtarzasz tylko te wyrazy:
„Boziu, daj wieczne spoczywanie".

JERZY OLKIEWICZ

MALARZ W KRAINIE CZARÓW

DEWALUACJA malarskiej poetyki XIX wieku była jednym z najbardziej zasadniczych motorów rozwoju współczesnego malarstwa. W pewnym sensie była to walka z sentymentalizmem walka z wyświechtaną czułostkowością. Jedyny wielki współczesny malarz, który potrafił zachować zeszłowieczny urok, nie stając się bynajmniej niestrawny ani przesłodzony — to Bonnard. Bonnard, ten pozorny passeista jest jednak postacią wyjątkową. Nieco staroświecki — dzisiaj — urok jego martwych natur, portretów czy aktów jest ostatnim być może świetnym przykładem uczuć i idei, które kształtowały francuskie malarstwo zeszłego wieku.

Odświeżenie formy malarskiej było w znacznym stopniu wynikiem zetknięcia się ze sztuką prymitywną czy egzotyczną. Odświeżenie poetyki wypływało bądź to z gloryfikacji wartości, które dawniej nazywano naiwnymi czy niepoważnymi, bądź — z wprowadzenia do malarstwa nieznanego dotychczas w takim stopniu ładunku ironii, kpin a nawet szyderstwa. Kluczem, który wyjaśnia wiele tajemnic współczesnej sztuki jest dowcip.

Cały późniejszy kult absurdu surrealistów, albo wyrafinowane, ostre poczucie humoru malarzy, którzy nic z surrealizmem nie mieli wspólnego, wypływa z odkrycia wielkiego ładunku dowcipu, jakie dla współczesnego artysty miała sztuka peryferyjna, nieoficjalne malarstwo amatorów czy naiwne rysunki dzieci. W okresie przełomowym, który przez układ stosunków społecznych wykluczał w zasadzie sztukę serio — powagę i heroizm zastępowano parodią i groteską.

Odkrycie malarstwa Celnika Rousseau było nie tylko wydarzeniem mającym wpływ na cały dalszy rozwój sztuki, ale stało się symbolem charakterystycznym dla swojego okresu. Powszechnie wielbionymi mistrzami w historii malarstwa byli Michał Anioł czy Rembrandt. Mistrzem Montmartre pierwszych lat naszego stulecia był dziecięco naiwny, niedorozwinięty umysłowo, mały i niepozorny urzędnik celny, który w chwilach wolnych od pracy malował obrazki; najwięksky z gatunku tych malarzy, których Francuzi nazywają *peintres du dimanche*. Cała słabość współczesnej sztuki w krytycznym okresie rozwoju, cała wielkość i chęć odświeżenia poprzez uczucia najprostsze, najświeższe, najbardziej fundamentalne — jest w tym odkryciu.

Celnika-Rousseau odkrył Alfred Jarry — autor „Króla Ubu". Czy powodem odkrycia był prawdziwy zachwyt nad uroczą naiwnością jego obrazów, czy też wrodzona potrzeba kpin z wartości, które w oczach ówczesnego mieszczaństwa francuskiego były święte i nienaruszalne, kpiny „Króla Ubu" — to w zasadzie nie jest ważne. Bardzo prawdopodobne, że traktował malarstwo Celnika jako jeden wielki żart, jako śmieszną hecę. Jarry, wiecznie pijany, dziwaczny człowieczek, mieszkający jak w szufladzie na niskim półtorametrowym strychu w towarzystwie kotów i sowy, może i poprzez obrazy Rousseau chciał wyszydzić mieszczuchów, których fanatycznie nienawidził. Rousseau zrewanżował mu się wspaniałomyślnie przedziwnym portretem, na którym Jarry pozuje z papugą i kameleonem. Ci panowie odnaleźli się w korcu maku.

Celnik został przyjęty entuzjastycznie przez Picasso, Apolinaire'a i całą paczkę malarzy z Rue Ravignan. Jego naiwność była rozbrajająca, jego obrazki urzekały jarmarczną poezją, instynktowną logiką formy i wyrafinowanym kolorem. Uznano go, ale nikt go nie mógł traktować serio. Słynny bankiet u Picassa z okazji kupna obrazu Rousseau był jedną wielką szopką.

Rousseau wierzył we wszystko i wierzył wszystkim. Świat jego wyobraźni był dla niego światem realnym. Nie trudził się rozróżnianiem rzeczy naprawdę istniejących od nierealnych. Kiedyś w czasie służby koledzy Celnika znając jego naiwność spuścili na sznurkach w nocy szkielet ludzki przed okno wartowni. Rousseau wyszedł, ukłonił się grzecznie i zwracając się do kościotrupa przez „monsieur", spytał się go, czyby się czegoś nie napił. Człowiek zdolny do takiej łatwowierności musiał w swoim malarstwie być absolutnie szczery i rewelacyjny w niezwykłej, bardzo osobistej wizji świata.

Ulubionym motywem jego obrazów były paryskie fortyfikacje i na wpół fantastyczne dżungle, które podobno oglądał w Meksyku w czasie kampanii w obronie cesarza Maksymiliana. Te dżungle, te koślawe portrety, były odkryciem nowego gatunku bardzo indywidualnej poetyki malarskiej, lirycznej — ale nie sentymentalnej, nieświadomie dowcipnej i groteskowej.

Rousseau wywarł wpływ nie tylko na malarstwo. Istnieje jego portret zbiorowy, który przedstawia grupę kanonierów wokół śmiesznej, wielkiej armaty. Wąsate żołnierzyska, dumne, podparte pod boki, ustawione jak do jarmarcznej fotografii. Na innym obrazie portretuje rodzinę mieszczańską w wózku zaprzężonym w śmiesznego konika; przed wózkiem stoi absurdalnie maleńki bezsensowny piesek. Przecież to geneza współczesnego dowcipu: groteskowego i absurdalnego; geneza dowcipu surrealistów. Na tych kanonierów musiał się porządnie napatrzeć słynny dziś rysownik — Saul Steinberg.

Rousseau — poeta grający pozującemu modelowi w przerwach na skrzypcach „żeby się nie nudził", przekazał współczesnemu malarstwu ładunek najbardziej naiwnej poetyki. Poetykę świadomą, intelektualną — popartą kulturą i erudycją — stworzyli malarze zupełnie odrębnego pokroju. Od nich nie wymagano certyfikatu normalności, jak to kiedyś było w wypadku Celnika: — kiedy chciał się ożenić grono przyjaciół podpisało mu zaświadczenie stwierdzające, że nie jest głupi i że potrafi malować.

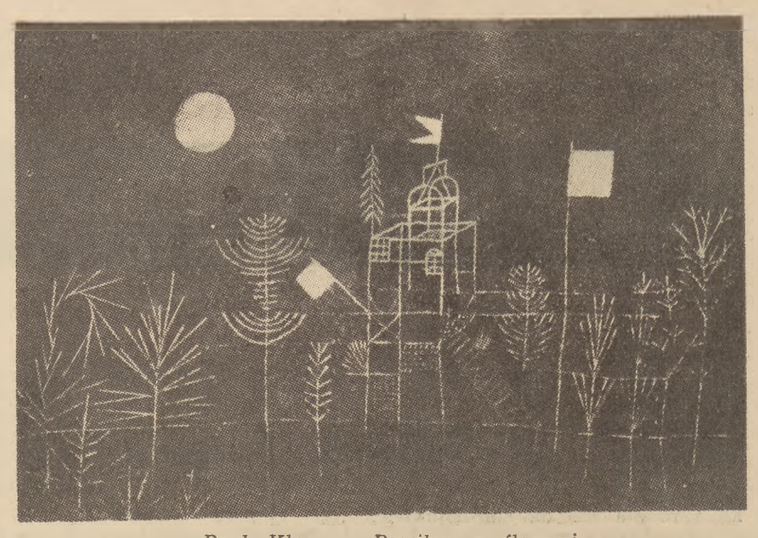

Paul Klee — Pawilon z flagami

Bardzo często tych malarzy „odrębnego pokoju" utożsamia się z surrealistami — ale chociaż wpłynęli na późniejsze powstanie tego kierunku, nigdy nie byli z nim bezpośrednio związani, nigdy go nie rozumieli. Ich malarstwo nie jest surrealizmem, jest malarstwem poetyckim. To poważna różnica. Najwybitniejsi przedstawiciele tej grupy, którzy oprócz ładunku bardzo zresztą różnorodnej poezji — nie mają z sobą nic wspólnego, to Chagall, Chirico, Klee i częściowo Miro.

Chagall, rosyjski Żyd maluje naiwny, biedny świat getta w Witebsku. Obdarci chłopi, wiejscy skrzypkowie, zapadłe chałupy ponad którymi unosi się koza czy krowa grająca na skrzypkach — cały świat mizerny, naiwny ale pełen prawdziwie ludowej poetyki, ludowych rosyjskich baśni i wierzeń.

Włoch Chirico jest mniej bezpośredni, bardziej intelektualny, — niepozbawiony upodobań irracjonalnych. Dziwne, puste ulice, atmosfera tajemnicy, niedopowiedzeń, dwuznaczności. Chirico i Chagall — prekursorzy surrealizmu nie mają jednak w swoich obrazach elementu, który charakteryzuje prace ich następców — elementu grozy. Wspólnym mianownikiem surrealizmu jest strach.

Największym poetą współczesnego malartwa jest Paul Klee — szwajcarski Niemiec z silną przymieszką krwi romańskiej. Ta mieszanina ras tłumaczy w dużym stopniu charakter jego malarstwa. Klee ma bezsprzecznie tęsknoty irracjonalne — zachowuje jednak tak ogromny wdzięk i smak, taką klarowność właściwą kulturze galijskiej, że stanowi bardzo specyficzne i oryginalne połączenie wpływu dwu środowisk. Jeżeli Picassa uważa się za najpełniejszy, krańcowy przykład silnej, zdrowej, monumentalnej, współczesnej sztuki — Klee jest jej drugim krańcem. Liryczny, kontemplacyjny, refleksyjny kameralny, intymny — skupia w sobie cechy, których często brak Picassowi.

Klee to wielki czarodziej — mądrze i inteligentnie wykorzystujący w malarstwie świat drobnych, dziwnych form biologicznych, patrzący na codzienność naiwnym, ale świadomym okiem dziecka. Codzienne proste przedmioty, domy, drzewa, ludzie są w jego wizji symbolami poetyckimi, ukazują nieznane piękno odkryte olbrzymią wrażliwością. Klee skupia w sobie całą wrażliwość współczesnego człowieka, odkrywającego nieznane światy roślin, kwiatów, owadów, insektów, zwierząt, znaków magicznych czy planet. Wchłania w siebie wszelkie wpływy współczesne i cały dorobek historyczny sztuki. Jest równie wrażliwy na odkrycia współczesnej fizyki jak na magię sztuki egzotycznej. Bodaj że Venturi pisał kiedyś, że o ile kubiści wybielili sztukę murzyńską, sztukę Czarnych, Klee zdrapał z powrotem ich białą politurę, zachował nieco mroczną poetykę i kultowy charakter. Klee ma przy tym wiele bliskiego ze sztuką Wschodu, jest kaligraficzny. Jest mistrzem miniatury, drobiazgowej, pracowitej, precyzyjnej. Łącząc niezwykłą wrażliwość kolorystyczną i niezwykłe wyrafinowanie, z mistrzosko opanowanym rysunkiem stwarza typ sztuki zupełnie niepowtarzalnej — można go naśladować, ale trudno go rozwijać.

Sztuka jego ma równie dużo wspólnego z malarstwem co z poezją i muzyką. Klee jest właściwie bardzo tajemniczy. Jego upodobania literackie pokrywają się częściowo z charakterem jego plastyki: Poe, Hoffmann, Baudelaire, Gogol. W swoim poetyckim mikrokosmosie tworzy nieznane, cudowne twory, fantastyczne, baśniowe, urzekające. Zatopione parki, zaczarowane koty, kwiaty na księżycu, maszyny, do ćwierkania — ogromny arsenał malarskiej poezji, ogromny arsenał dowcipu.

Wrażliwość Klee'a jest niemal chorobliwa; wykracza poza zasięg przeciętnych ludzkich doznań. Pod tym względem nikt w malarstwie go nie prześcignął. Co ma jednak wspólnego z Celnikiem Rousseau czy z Chagallem? Odkrywcze, świadomie naiwne spojrzenie. Budowanie malarstwa opartego nie tylko na czysto formalnych podstawach. Stwarzanie nowych pojęć. Budzenie nowych uczuć. Analizę wrażliwości. Zręby sztuki, która by wyrażała nowy, świeży sposób odczuwania świata.

Marc Chagall — Targ zwierząt

IZABELLA KOPEĆ

Katolicy wobec wyborów we Francji

A WIĘC Francuzi udowodnili, że nie chcą mieć już nic wspólnego z takimi politykami, którzy nie starali się i nie umieli rozwiązać żadnego problemu narodowego, którzy przyjęli kompromis jako metodę działania. Druzgocąca krytyka, z jaką w okresie kampanii wyborczej spotkała się partia E.W.O., krytyka wojny w Indochinach i krwawych prześladowań w Afryce, wydała owoce. I z tego bezspornego faktu wszyscy prawdziwi przyjaciele Francji powinni się cieszyć.

Jest rzeczą charakterystyczną, że krytyka M.R.P. tym razem wyszła przede wszystkim ze środowisk katolickich. Nic w tym dziwnego, bowiem z Ruchem Republikańsko-Ludowym były niegdyś związane najlepsze nadzieje tych środowisk i dlatego czują się teraz specjalnie gorzko zawiedzione. Najbardziej może ciekawy jest głos Jean Marie Domenacha, naczelnego redaktora miesięcznika „Esprit"; który na kilka dni przed wyborami pisał między innymi:

„Jedenaście lat wielkich i małych zdrad nadały M.R.P. charakter partii prawicowej, która nie waha się afiszować z tym publicznie, koligacąc się — jeśli tylko może coś zyskać — z listami reakcyjnymi.

Oto ten Ruch Oporu, ta partia wierności, stała się, jak to jej przepowiadał Mounier, ostatnim i najbardziej przerażającym popleczników reakcji...

...Wielu jednak ludzi głosuje jeszcze na M.R.P. wierząc, że głosuje za sprawiedliwością i miłosierdziem, wzmacniając w ten sposób konserwatywną koalicję podwójnie: swym głosem i „duchowym" przybraniem, którym prawica nigdy nie pogardzała.

Trzeba skończyć z tym kłamstwem Republikańsko-Ludowym! Czymże bowiem jest M.R.P. — ostatnią armią, jaką posługują się siły pieniądza, aby uniemożliwić masom katolickim uczestnictwo w przemianie ustroju Francji".

François Mauriac w jednym ze swych artykułów, opublikowanych w okresie kampanii wyborczej, nazwał historię M.R.P. historią zdradzonego powołania i nawoływał, aby niezależnie od ostatecznego wyniku wyborów, katolicy umocnili się w postanowieniu wytrwania aż do chwili, gdy zerwą sznur, jaki partia M.R.P. zarzuciła im na szyję, aż do chwili, gdy chrześcijanie przestaną wierzyć, że sumienie nakazuje im głosować zgodnie z życzeniami p. Martinaud Deplat dla obrony interesów, które on reprezentuje.

François Mauriac i Jean Domenach są — być może — najbardziej utalentowanymi wyrazicielami przemiany, jaka nastąpiła w opinii szerokich mas katolickich Francji, mas, które zdecydowanie odwróciły się od M.R.P. Również francuska Hierarchia kościelna, nie tając bynajmniej stanowiska antykomunistycznego, przestała uważać tę partię za reprezentanta ideałów chrześcijańskich. Znalazło to wyraz w wypowiedziach biskupów z okresu kampanii wyborczej. Nie zachęcali oni wiernych do głosowania na przedstawicieli M.R.P. sugerując, że katolicy mają prawo głosować na przedstawicieli takiej partii, która ich zdaniem jest w stanie rozwiązać podstawowe problemy kraju.

Doceniając ogromne znaczenie ostatnich wyborów dla przyszłości kraju niemal wszyscy przedstawiciele Hierarchii francuskiej zabrali głos w okresie kampanii wyborczej. W swych wypowiedziach podkreślali oni przede wszystkim, że głosowanie jest bardzo poważnym obowiązkiem i niedopuszczalne jest uchylanie się od niego dla względów drugorzędnych. Ktokolwiek wstrzymywałby się od głosowania bez bardzo poważnych ku temu przyczyn, obciąża swe sumienie. Kardynał Gerlier wezwał diecezjan do gorących modłów o to, aby żaden katolik nie uchylił się od ważnego obowiązku głosowania i aby kraj dzięki wyborcom z dnia 2 stycznia stał się bardziej zjednoczony i silniejszy.

W dniu Niepokalanego Poczęcia kradynał Gerlier przemawiając w Lyonie do wiernych omówił dyrektywy Zgromadzenia Kardynałów i Arcybiskupów dotyczące walk politycznych w okresie wyborów.

Kardynał powiedział między innymi:

„W celu stwierdzenia niezależności Kościoła i utrzymania go poza walkami politycznymi Zgromadzenie Kardynałów i Arcybiskupów Francji przypomina, że kandydaci nie powinni ani figurować pod nazwą katolików, ani też liczyć na swój tytuł członka organizacji katolickiej (...) Żaden z kandydatów nie ma prawa wykorzystywać dla celów politycznych tytułu katolika, żadna z partii nie ma prawa przybrać w drodze wyłączności etykiety „katolickiej" i żądać z tego tytułu głosów wyborczych od wiernych".

To oświadczenie pozostawiające wyborcom katolickim daleko idącą swobodę wyboru politycznego jest faktem nowym i doniosłym. Nowym i doniosłym we Francji, gdyż w poprzednich wyborach wskazywano wyraźnie, że obowiązkiem katolika jest głosować na M.R.P. Nowym i doniosłym w Kościele. Aby się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć o interwencji kleru w ostatnich wyborach włoskich, czy też w wyborach, które zapewniły zwycięstwo Adenauera w Niemczech Zachodnich.

Instrukcja dla duchowieństwa na okres wyborów wyraźnie podkreślała, że kapłan nie ma prawa wskazywać wiernym kandydatów, na jakich mają głosować, natomiast obowiązkiem jego jest zachęcać chrześcijan do skutecznej walki z nędzą, do walki o sprawiedliwość społeczną i o pokój między narodami, o rozumne przekształcenie stosunków kolonialnych w stosunki oparte o równość społeczną.

Bardzo ważnym wydarzeniem dla katolików francuskich była zmiana stanowiska Hierarchii w stosunku do problemu szkolnictwa wyznaniowego. Po raz pierwszy w tej kampanii wyborczej problem ten nie był stawiany jako zagadnienie pierwszoplanowe.

Kardynał Lienart, biskup Lille, wyjaśniając tę sprawę powiedział między innymi: „Za kilka dni odbędą się wybory, których znaczenie dla naszego kraju jest zupełnie zasadnicze. Kościół nie miesza się do nich, ale nie pozostaje wobec nich obojętny, ponieważ posiada swoje specyficzne obowiązki. (...) Dlaczego jednak biskupi nie postawili na pierwszym i głównym miejscu zagadnienia szkoły chrześcijańskiej? Oczywiście nie porzucają oni sprawy wolnego nauczania, gdyż jest to kwestia sprawiedliwości. Ale powzięli tę decyzję dla dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że liczba i waga problemów, jakie wchodzą w grę, nie pozwalają katolikom ograniczać się do jednego przedmiotu zainteresowań. Oraz dlatego, że Kościół pragnie zaprowadzić proponowane reformy w szkolnictwie opierając się na zasadzie społecznej sprawiedliwości i pragnie współpracować z wszystkimi ludźmi dobrej woli dla ich ustanowienia".

Tak więc Kościół ustami swego Kardynała stwierdza, że nie chce, aby ustawa Barangé *) była czynnikiem rozbicia społeczeństwa francuskiego w chwili, gdy wszystko czeka na odbudowanie, gdy wszystkie siły muszą być zjednoczone dla rozwiązania zasadniczych problemów kraju.

W ten sposób z rąk M.R.P. został wytrącony jeden z najważniejszych atutów. Kariera polityczna tej partii opierała się bowiem na szantażowaniu wyborców katolickich obowiązkiem poparcia tego ugrupowania, *które broni* szkoły wyznaniowej.

Katolicy francuscy z wielkim zadowoleniem przyjęli takie wyjaśnienie sprawy przez Hierarchię, gdyż — jak pisał w dzienniku „Le Monde" Pierre Henri Simon: — „nie ma dziś nic bardziej okrutnego i nic bardziej absurdalnego, jak odrodzenie się starego skandalu, który nastąpiłby wówczas, gdyby katolicy głosując na nich (na M.R.P., przyp. mój I.K.) w obronie szkoły wyznaniowej zostali doprowadzeni do sojuszu politycznego z najwybitniejszymi przedstawicielami przywilejów monopolistycznych, policyjnego kolonializmu i immobilizmu społecznego. Natomiast katolicy, jeśli właściwie dostrzegają hierarchię problemów, widzą, że ich miejsce jest w wielkim sojuszu z tymi siłami, które są zdolne uczynić Francję bardziej humanistyczną, demokrację bardziej zdrową a społeczeństwo bardziej sprawiedliwe".

Siły te to oczywiście siły lewicy.

W wyniku obecnych wyborów doszły one we Francji do głosu a do ich zwycięstwa przyczynili się także katolicy. W okresie kampanii wyborczej bowiem, przedstawiciele katolickiej opinii publicznej nie ograniczali się jedynie do krytyki M.R.P. i ugrupowań prawicowych. Wielu z nich szło dużo dalej zachęcając wprost katolików do głosowania na lewicę, jako na jedyną siłę, która zdolna jest do rozwiązania najbardziej palących spraw. François Mauriac, który określa siebie jako wyraziciela prawego skrzydła Frontu Republikańskiego, w swej publicystyce z okresu wyborczego apelował do lewicowych sił w katolicyzmie, stwierdzając, że chociaż chrześcijanie mają oczywiście swobodę w poszukiwaniu rozwiązań tak na prawo, jak i na lewo, jednak ich stosunek wobec nakazu miłości nie może być dowolny. Nie może być również dowolny wobec sprawiedliwości i dlatego „wybór doczesny nas. katolików, kieruje na lewo nie wbrew naszej wierze, lecz z powodu naszej wiary".

Jacques Chatagnier — jeden z dawnych redaktorów niewychodzącego już czasopisma „La Quinzaine", zabierając na łamach tygodnika „France Observateur" głos w obronie stanowiska Mauriaca, którego wypowiedzi były bardzo atakowane przez prawicową prasę francuską — opowiedział się również za głosowaniem na lewicę „nie tyle w imię swej wiary, co w imię zdrowego rozsądku i odrobiny pamięci". Jacques Chatagnier stwierdził, że dokonując wyboru trudno zawierzyć programom, któż bowiem dzisiaj we Francji nie opowiada się „za pokojem" czy „za słuszną ewolucją ludów zamorskich". „Bardziej jednak od słów które się zapomina, wchodzą w rachubę czyny, a bardziej od „programu" — ludzie obarczeni wprowadzeniem go w życie. Dlatego to wielu katolików zrozumiało, że powinni głosować na lewicę".

Podobnie duża grupa intelektualistów katolickich, wśród których oprócz wspomnianego już Mauriaca figurują nazwiska takich ludzi, jak Jean Baboulene, członek redakcji „Témoignage Chrétien" Jean Lacroix, profesor filozofii na Uniwersytecie W Lyonie; Henri Marrou, profesor Sorbony; poeta Luc Estang; Pierre Henri Simon, korespondent „Monde'u" i Georges Suffèrt redaktor naczelny „Témoignage Chrétien" — ogłosiła apel, w którym czytamy m. in.:

„Nie zgadzamy się, aby fakt, że jesteśmy katolikami, był nadal dyskontowany jedynie przez umiarkowane ugrupowania Zgromadzenia Narodowego. Nie zgadzamy się na prowadzone od pięciu lat podstępne wykorzystywanie katolicyzmu i wiązanie go, za pomocą przypadkowego prawa, ze zmienną większością, gdzie M.R.P., depozytariusz nadziei wielu z nas, dał się uwikłać i wystrychnąć na dudka. Słusznie czy też niesłusznie lewica ujawnia spisek klerykalny. Wystarczy, że jest w tym choć kilka pozorów racji, aby nie wolno nam było milczeć. Byłoby rzeczą zbyt nużącą i zbyt smutną sporządzać listę strat w polityce prowadzonej od pięciu lat przez ludzi, których intencje są być może czyste, lecz którzy wydają się niezdolni nie tylko do przewidywania wydarzeń, lecz nawet nie potrafią dostosować się do konkretnej sytuacji politycznej. Jesteśmy bardzo zmęczeni upokarzającym poscigiem za historią spowodowanym przez paszą politykę. Dzisiaj chodzi o coś innego (..) Nie możemy dłużej zamykać chrześcijan tego kraju w symplicystycznym równaniu: prawica — a więc katolicyzm, lewica — a więc świeckość. Jeśli chodzi o Unię Francuską i Afrykę Północną, nie chcemy być współwinni we wczorajszych i dzisiejszych akrobacjach. Seria pomyłek w Indochinach, Tunisie i Maroku nie może wzbudzać zaufania. Wierzymy, że dzięki inteligencji można zbudować nową wspólnotę, nie zgadzając się na popieranie podejrzanych interesów jednostek, aby lepiej bronić wielkiej masy Francuzów. Trzeba, aby katolicy wiedzieli, że mogą

DNO NONSENSU I CIERPIENIA

(Dokończenie ze str. 3)

Le Gouce, który rezygnuje z ocalenia Pietra, ponieważ złości go niezrozumiały język włoski. Czyż nie mamy tu kapitalnej przenośni, oskarżającej nienawiść narodową, którą tak łatwo rozpalić w poczciwym tępaku. Le Gouce — żołnierz niezłomny, Le Gouce — ryczący sławą Bonapartego, to symboliczny wytwór wojennej psychozy głupstwa. Nonsens wojny nie polega tylko na absurdalnych sytuacjach, na zmiennym stosunku ludzi do siebie, bo to zdarza się i podczas pokoju. Ale na tym, że takie niespodzianki są sprawą powszechną, stanowią istotę wojny, są ściśle związane z funkconowaniem mechanizmu wojennego, z psychologią masowego zabójstwa.

FAŁSZERZE ROMANTYZMU

NIKT nie chce być głupcem, a tym bardziej nikt nie chce bić się jako głupiec, jeśli nie wytłumaczy mu się konieczności lub nie ukaże fałszywych uroków wojny. Dlatego od dawna starano się nadać wojnie posmak wielkiej przygody, dlatego hodowano mity bohaterstwa. Obydwie komedie rozprawiają się nie tylko z nonsensem wojny, ale i z jej fałszywym romantyzmem. To zwiększa wartość tych sztuk.

Szybko wywietrzało kapitanowi Blunshli jego upojenie wielką przy tyczne pozy majora Suranowa nie pozostawiają widzowi wątpliwości co do ich prawdy. Nie wierzy w nie ani sam bohater, ani w rezultacie jego narzeczona. Shaw, przerzucając akcję komedii do odległej Bułgarii, w istocie kpi sobie z pseudoromantycznych postaw, które i jego rodacy lubią przybierać. Bardziej typowym będzie oczywiście dla nich romantyzm kapitana Bluntschli. On umie nie udawać bohatera, umie przyznać się do lęku, mówi o prawdzie wojny, a jednak siedzi w niej aż do chwili, gdy bogaty papa pozostawi mu grube tysiące i dochodowe hotele. Pięknie, można powiedzieć, ale przecież trudno posądzać, żeby poszukiwanie mocnych przeżyć zrobiło małego przemytnika z Sabaudii podkomendnym Bonapartego. Flicot zaciągnął się do huzarów, ponieważ przemytnictwo przestało popłacać. Powtarza to kilkakrotnie ze smętną autoironią. Wojaczka bowiem nie opłaca mu się również. Lecz istnieje nie tylko romantyzm wielkich wzruszeń. Dla nędzarzy w rodzaju Flicot posmak romantyzmu ma perspektywa względnie syłego życia, nadzieja beztroskiej egzystencji, choćby za cenę codziennego niebezpieczeństwa. Wojna łudziła go tymi persektywami, wojna zawiodła huzara Flicot. Spadły mu jak z nieba oficerskie spodnie i buty, ale nie mógł się nimi nacieszyć — musiał oddać silniejszym; zabłysła mu miłość pięknej Cosimy, ale musiał maszerować dalej, na Austyjaków. Już lepiej by mu było pozostać przy niepoplotnym, mało „romantycznym" zawodzie przemytnika.

Tragikomedia Breala jest satyrą na wojnę. ale nie można jej nazwać sztuką pacyfistyczną. Autor nie solidaryzuje się z tchórzostwem, nawet gdyby tchórze mieli rację. Sympatyczny i wesoły Rafael przegrywa, bo okazał się tchórzem; on i jemu podobni nie potrafili obronić wioski. Dlatego Cosima woli śmiesznego i obdartego żołnierza od dziarskiego parobczaka, który zwiał z pola walki. A że sam Flicot bardziej iflozoficznie zapatruje się na sprawę odwagi, to już jego rzecz. On wojnę zna najlepiej.

ZWYCIĘZCY I ZWYCIĘŻENI

W ZMIENNYCH kolejach wojny ten bywa zwycięzcą, kto w odpowiedniej chwili posiada pod ręką nabitą broń. Ludność cywilna broni na ogół nie posiadała, więc zwycięzcami bywali żołnierze — bez względu na to, po czyjej stronie walczyli. Ale żołnierz, jak mawiał huzar Flicot, też bywa czasem człowiekiem. Gdy odkłada karabin, staje się często biedakiem łasym na dziewczęta i poczęstunek. Niestety wystarczy rozkaz dowódcy, by musiał zabrać się do mordowania swoich przygodnych przyjaciół. Breal, osadzając swoją komedię w odległych czasach pierwszej kampanii Bonapartego, wyraźnie nawiązywał do lat ostatniej okupacji. Oczywiście, różnica między żołnierzami Rewolucji Francuskiej a hitlerowskim Wehrmachtem była dość zasadnicza. Ale autor pragnie przede wszystkim pokazać, że wrogość między „zwycięzcami a zwyciężonymi" jest zjawiskiem względnym, nietrwałym, sztucznym. Dobra kolacja i przyjacielska rozmowa, nawet za pośrednictwem kiepskiego tłumacza, usuwa atmosferę wrogości. Nie mówię już o roli kobiet, które nie tylko kłócą, ale i łączą ludzi.

W tym całym komedlowym i antywojennym dialogu, który usłyszeliśmy i oglądaliśmy w obu teatrach, najbardziej ważki będzie głos ludzi szczególnie zainteresowanych nie w wojnie, ale w pokoju. Owych chłopów którzy giną najgęściej. Widzą i oceniają oni sprawy wojny z własnego, pozornie ciasnego podwórka, z perspektywy własnych interesów, miłości i miłostek. Nie znają szerokich widnokręgów wielkiej polityki, obce są im ambicje „Kapitanów i Bonapartych", ale przecież do sprawy ich szczęścia i zagłady sprowadza się cały dialog o wojnie. Głos „zdrowego chłopskiego rozumu"' przybiera tu sens wielkiego uogólnienia, siłę przemawiania do wszystkich.

W obydwu komediach głos kobiety jest głosem rozsądku. Dzieje się tak być może dlatego, że kobiety mają największe prawo mówić o wojnie. W bitwach ginęli mężczyźni, lecz wojna najwięcej cierpień sprawiała kobietom — one bowiem zostawały. (Dziś zresztą giną i one, na równi z mężczyznami.) Kobiety trzeźwiej i celniej oceniały wojnę, bardziej jej nienawidziły. Cosima nie znosi tchórzów, ale na wojnę patrzy jak na bezsensowną awanturę. Z mężczyznami, którzy tę wojnę traktują na serio, gotowa walczyć swoją bronią — sztyletem i urodą. Sztylet zawodzi — uroda nie. Cosima walczy jeszcze sprytem. Jej wdzięk i spryt doskonale zaznaczyła Danuta Szaflarska. Zbyt wiele natomiast dała swej bohaterce świadomie nabytej inteligencji. Cosima jest niewątpliwie mądrzejsza i od swego patrona i od Kapitana razem z całym niemal jego szwadronem, ale pozostanie przecież zwykłą wiejską dziewczyną, która niewiele widziała pozo swą wsią. Podobnie zresztą przedstawia się sprawa z Łuką — Krystyny Ciechomskiej („Żołnierz i bohater"'). W obydwu wypadkach kładąc słusznie nacisk na zaprezentowanie sprytu, wrodzonej inteligencji, uroku swoich bohaterek — artystki poszły o krok dalej wyrywając dziewczęta z ich uwarunkowań środowiskowych.

Obydwie bohaterki są służącymi. Obydwu wojna przynosi zmianę ich życiowej sytuacji. Łuka wyjdzie za mąż za bogatego majora, zrobi karierę. Dla niej jednak najważniejszy będzie nie dobrobyt, lecz zaspokojenie ambicji i miłości. Cosima — również domowe popychadło — będzie przez chwilę pierwszą osobą w domu swoich gospodarzy. Przyczyni się do ocalenia życia ich synowi. W obydwu dziewczętach obudzi się i utrwali poczucie własnej godności, więcej — coś w rodzaju świadomości klasowej. To sprawi cień wojny, który padł na obydwa domy. A wniosek: wojna jest bezwzględnie największym złem, do którego nie wolno dopuścić. Ale jest jednocześnie mieczem obusiecznym, jego błysk, śmiertelny dla milionów, wielu z tych, którzy pozostają, otwiera oczy.

NA SCENACH

PISZĄC o „Huzarach" i „Żołnierzu i bohaterze"', trzeba mówić nie o dwóch, ale o trzech przedstawieniach. Z konieczności nasuwa się bowiem porównanie wieczoru w Teatrze Współczesnym z niedawno oglądanym przedstawieniem zespołu Fabbri.

Fabbri, wierny założeniom swego teatru, pokazał nam już nie tragikomedię, lecz tragifarsę, graną z piekielnym temperamentem, wypełnioną szalonym zgiełkiem, zamieszaniem, galopadą scen i sytuacji — ale w tym szaleństwie była metoda, bo przez tumult panujący na scenie przebijały się zgrzyty wojennej machiny. Już w samym zakończeniu sztuki z „zakulisowym" odmarszem szwadronu znajdowaliśmy nie tylko kpinę, ale i posmak grozy, jaką sieją ogłupieni ludzie, zamienieni w automaty do zabijania.

Nasi aktorzy nie mogli oczywiście dorównać południowcom w ich temperamencie. Nie o to zresztą chodziło. Komedię Breala potraktowano u nas nieco inaczej, obok walorów komediowych wyraźnie wydobywając jej intelektualny dowcip, bardziej różnicując postacie, a także niektóre sytuacje. Najbardziej zbliżony do francusko-włoskiego pierwowzoru był Rafael w intepretacji Zygmunta Kęstowicza. Lech Ordon jako Giacomo stworzył kapitalną, charakterystyczną sylwetkę włoskowego jąkały, zaznaczając tym typ humoru komedii, nawiązującej do ludowej farsy. Komiczny duet niemal rokokowych kochanków, stale czulącego się do siebie małżeństwa — Elizy i Pietra, stworzyli Barbara Fijewska i Miłosz Maszyński. Celowo przestylizowano tę parę — Elizę na czułą „ptaszynę", pasterkę z bynajmniej nie filozoficznych powiastek, zaś Pietra na dryblasowatego Filona, który zabłąkał się przypadkowo w epokę wielkich wojen. Konstanty Pągowski jako Józef Lippi i Jadwiga Kossocka w roli Marii Lippi, wyraźnie ustępowali swoim francuskim kolegom, tak soczyście grającym parę włoskich sukienników. Niezbyt włoska, ale za to międzynarodowa w swoim zaściankowo-drobnomieszczańskim despotyzmie i rubaszności była pani Baglione (Stanisława Perzanowska) — bogata właścicielka folwarku.

Osobną sprawą jest rola tak często wymienianego huzara Flicot. Tadeusz Fijewski uwydatnił komizm tej postaci, cyzelując poszczególne sytuacje, ale nie zatracając na ogół jej „drugiego dna". Piszę: na ogół — bo w niektórych scenach nie wiedzieliśmy, czy artyście chodzi o podkreślenie śmieszności bezsensownych sytuacji, w których znalazł się jego bohater, czy po prostu o rozśmieszenie widowni. Flicot bowiem to nie tylko poczciwa szwadronowa oferma, to również dobry i niegłupi człowiek, który zaplątał się w paskudną dla siebie historię. Takim go widzi Cosima i dlatego przede wszystkim urok polatanego munduru odgrywa tu rolę drugorzędną) woli go od dziarskiego, niebrzydkiego Rafaela. Inna sprawa, że Rafael ma większą szansę zdobycia Cosimy — Flicot pomaszeruje dalej, a nieobecni nie mają zazwyczaj głosu.

Teatr Współczesny wydobywając z tekstu sztuki jej inteligentną błyskotliwość, zamaczając jej barwną ilustracyjność (niemałą rolę spełniły tu bardzo ilustracyjne dekoracje Olgi Siemaszkowej) nie rozminął się w rezultacie z zamiarem autora. Inne wrażenie wynieśliśmy z przedstawienia „Żołnierza i bohatera" zaprezentowanego przez Teatr Ludowy. Intencje Shawa przekazano widzowi dość wiernie, stworzono komedię soczystą, niemal w stylu fredrowskim, ale nie wykorzystano w pełni ciętego, intelektualnego dowcipu pisarza. W Teatrze Ludowym dobrze oddano fabułę, koloryt utworu, a jednak Shaw był na scenie za mało obecny. W wielu innych wypadkach byłoby to zaletą przedstawienia. Jeśli chodzi o sztukę napisaną przez Wielkiego Kpiarza, który zresztą scenicznymi losami swych utworów niezbyt się interesował, będzie to pod adresem reżysera zarzut zasadniczy.

Ale, pozostawmy te pretensje do wykonawców. Najważniejsze, że umieją się dobrze posługiwać daną im przez autorów bronią humoru, i że potrafią przy tym i rozśmieszać, i przez śmiech wychowywać.

Osobną sprawą jest rola tak często wymienianego huzara Flicot — Tadeusz Fijewski uwydatnił komizm tej postaci, cyzelując poszczególne sytuacje, ale nie zatracając na ogół jej „drugiego dna". Piszę: na ogół — bo w niektórych scenach nie wiedzieliśmy, czy artyście chodzi o podkreślenie śmieszności bezsensownych sytuacji, w których znalazł się jego bohater, czy po prostu o rozśmieszenie widowni. Flicot bowiem, to nie tylko poczciwa szwadronowa oferma, to również dobry i niegłupi człowiek, który zaplątał się w paskudną dla siebie historię. Takim go widzi Cosima i dlatego przede wszystkim (urok polatanego munduru odgrywa tu rolę drugorzędną) woli go od dziarskiego, niebrzydkiego Rafaela. Inna sprawa, że Rafael ma większą szansę zdobycia Cosimy. — Flicot pomaszeruje dalej, a nieobecni nie mają zazwyczaj głosu.

Józef Szczawiński

Teatr Współczesny w Warszawie. A. T. Breal: „Huzarzy", rezyseria: Józef Wyszomirski, dekoracje i kostiumy: Olga Siemaszkowa.

Państwowy Teatr Ludowy w Warszawie. B. Shaw: „Żołnierz i bohater", reżyseria: Zygmunt Chmielewski, scenografia Andrzej Pronaszko.

Fot. H. Jurko

„Żołnierz i bohater" B. Shawa. Krystyna Ciechomska (Łuka) i Cezary Julski (major Staranow)

JERZY STADNICKI

POŻYCZONE DZIECKO

OSTATNIO prasa kulturalna biła parokrotnie na alarm z powodu zbyt żmudnych, długotrwałych teoretycznych — a mało efektywnych w rezultacie studiów artystycznych. Czytaliśmy artykuł Kosteckiego o PWSF, Garzteckiego o PWST i inne. Artykuły wywoływały wiele komentarzy pochwalnych i potępiających, ale jedno można chyba na pewno stwierdzić: nasze studia artystyczne są raczej za bardzo, niż za mało ambitne, przegięcie idzie raczej w kierunku zbyt obfitych programów, przesady pedagogicznej, nadmiernego dzielenia włosa na czworo — niż na odwrot.

Wyobrażam sobie, że przyszły szperacz prasowy, autor jakiegoś „cicer cum caule" czy „aktualności z myszką" pisanych o naszych czasach za lat pięćdziesiąt lub sto — będzie oniemielony tym niespotykanym w dziejach poczuciem odpowiedzialności, będzie pisał: „...a w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku powstawały w Polsce dzieła sztuki lepsze czy gorsze, bardziej lub mniej ambitne, ale jedno trzeba im przyznać: że wyrastały na gruncie ogromnego wysiłku artystów i naazwyczajnej opieki władz i jeżeli coś się czasem nie udawało, to na pewno nie z winy organizatorów życia artystycznego".

Ha — ha — ha!

3 stycznia br. afisz pięknie wymalowany zaprosił mieszkańców Kłodawy na występy „Teatru Dramatycznego", który w ramach troski o kulturę prowincji przybył z samej Warszawy do zagubionego poznańskiego miasteczka ze sztuką „Ich czworo" Gabrieli Zapolskiej, dość znanej dramatopisarki. Cóż, poznaniaki, to nie fetniaki z Powiśla, przyszli, nawet masowo. Po odsłonięciu kurtyny ujrzeli najpierw „jadalnię w średniozamożnym domu" (czytaj: ławy nakryte tranami) a wśród ław c z t e r e c h aktorów, ubranych w amerykańskie ciuchy (jak wiadomo, Zapolska przewidziała ról osiem; z nich pominięto Sługę, Dorożkarza i pierwszoplanową Szwaczkę). „Dziecka" zespół nie przywiózł, wychodząc ze słusznego założenia, że o ten towar w Polsce nie trudno i że można je zawsze wypożyczyć z widowni. Co też uczyniono. Spytacie, kiedy zdążono nauczyć je roli. Toteż go nie nauczono, Dziecko mówiło z głowy, podobnie zresztą, jak Kochanek, który np. kwestię z aktu II sceny 4 „niech pani otworzy", zastąpił słowami „nakryj mnie pani własnym ciałem". To unowocześnienie tekstu Zapolskiej było zresztą drobiazgiem, wobec wstawienia fokstrotta „Kiedy będziesz zakochany" i walczyka o jeździe statkiem do Mlocin. Zmiany tekstu były zresztą konieczne nie tylko dlatego, że aktorzy go zupełnie nie znali i właściwie komponowali jakąś własną improwizację, ale także na skutek zredukowania obsady o połowę. W rezultacie czego np. nie miał kto zagrać końcowej sceny 9-ej, na miejsce której wstawiono filozoficzne uogólnienie: „Odeszła moja żona? Nie szkodzi. Wróci", raczej niezgodne z intencjami i duchem utworu.

Mieszkańcy zapadłej Kłodawy, mówiący „zaś potem" i nie odróżniający solluxu od soljeżu — i tym razem nie znaleźli się na poziomie. Zaczęli krzyczeć, że wiedzą, kim była Zapolska, jak powinien wyglądać secesyjny salonik i czym różni się pauza artystyczna od próżni w głowie. Jakiś nędzny Kłodawczanin, „który pewnie w domu chodzi na czworakach a tylko wobec nas udaje człowieka" sprowadził milicję i pana K-O a zapoznani artyści warszawscy nocowali na komisariacie. Gdzie się okazało, że ów zespół, kierowany przez ob. Wójcikowskiego (nie mylić ze znanym tancerzem) ukulturalnia w ten sposób polską prowincję już od dwóch lat, grywa także sztuki napisane przez siebie, przygotowuje w następnym rzucie wystawienie „Ślubów panieńskich" (w trzy osoby) i...

...p o w o ł u j e s i ę n a z e z w o l e n i e M i n i s t r a K u l t u r y i S z t u k i.

Nie wątpimy, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Znamy wypadki, że aktor, tancerz albo nawet statysta z objazdowego zespołu mającego istotnie zezwolenie władz kompetentnych — odłącza się i rozpoczyna „dziką akcję". Sądzimy jednak, że nie zawadzi, aby Minister Kultury i Sztuki wiedział, co i jak dzieje się z powołaniem na jego osobę.

Bo takich faktów jest więcej. Pisał o nich niejednokrotnie „Teatr" (notatka pt. „Oszust, ale czy aby jeden" z nr 17 ub. r.), pisały ostatnio „Szpilki" (reprodukując w nr 3 br. afisz o występach Jana Kożnicy „Laureata Konkursu Nieznanych Talentów"), pisało też „Dziś i Jutro" (artykuł w nr z dn. 28 marca 1954 r. o wystawianiu „Sprzedanej narzeczonej" i „Halki" w jednej dekoracji i przy rozstrojonym pianinie). A co powiedziano o „Artosie", tego by na wołowej skórze nie spisał. Przytoczone fakty nie są więc jakimś wyskokiem, ani dowodem na słuszność prawa o powszechnym, bezładnym ruchu cząsteczek, w myśl którego cegła m u s i samorzutnie wyskoczyć z domu na wysokość ósmego piętra... raz na dwadzieścia bilionów lat. Chodzi niestety o zjawisko daleko bardziej typowe.

Chodzi też o odpowiedź na pytanie, jak jest u nas naprawdę z tym upowszechnieniem kultury. Bo z jednej strony wydaliśmy na nią w ub. r. budżetowym miliard dwieście milionów złotych (którą to sumę można przeliczać na lokomotywy, żarówki, pensje urzędnicze — jak kto woli) z drugiej — tolerujemy bakterie, purchawki, tasiemce żerujące tę samą kulturę. Z jednej strony reżyser w Polsce musi ukończyć dwa fakultety, z drugiej — przedsiębiorca z Powiśla odpowiada na pytanie władz, „kto reżyseruje przedstawienie?" — „przypuśćmy, że ja". Z jednej strony w każdym prowincjonalnym teatrze, przed byle współczesną sztuką rozprawia się, co chciał autor powiedzieć, robi się analizy tekstu, próby czytane, sytuacyjne, krytyki i recenzje, z drugiej — nad tym samym prowincjonalnym miastem wisi groźba przyjazdu „artystów", mogących wystawić „Ich czworo" albo „Lorenzaccia", w pięć albo w pięćdziesiąt osób, wypowiadających tekst w całości, połowie albo w dowolnej przeróbce. Więc jak jest naprawdę?

Kiedy polscy spółdzielcy fryzjerscy chcą założyć teatr amatorski, muszą mieć reżyserię fachową. Słusznie? — Moim zdaniem tak. Gdybyś Ty, Czytelniku, albo ja, albo mój Naczelny Redaktor postanowili w godzinach wolnych od zajęć założyć zespół pieśni i tańca, albo wystawić „Ich czworo", to byśmy nie dostali licencji. Słusznie? — Moim zdaniem tak. Gdyby to samo chciało uczynić ośmiu aktorów z Teatru Polskiego, to by też nie dostało licencji. Słusznie? — Moim zdaniem — nie.

Bo jeżeli nasza prowincja cierpi na taki głód kulturalny, że daje się zwabić występami J. Kożnicy „Laureata Nieznanych Talentów" albo Zapolskiej w wykonaniu zespołu p. Wójcikowskiego — to czyż nie lepiej uradować ich serca gościnnymi występami artystów stołecznych, którzy potrafią brać pensję okrągły rok za to, że wchodzą, mówią „podano do stołu" i wychodzą?

Wiadomo, że dublowanie ról, przestoje i brak etatów kobiecych są zmorą naszych teatrów, zwłaszcza w dużych miastach. Dlaczego nie stworzyć tym ludziom możliwości rozwoju talentu, dlaczego im nie dać zarobić, dlaczego nie dostarczyć prowincji rozrywek, na nieco wyższym poziomie od kłodawskiej premiery „Ich czworo"? Dlaczego z jednej strony pisze się o ludziach z prowincji, którzy m u s z ą chodzić do knajpy, bo na 300 miejsc w jedynym kinie jest 36.000 reflektantów — a z drugiej artyści, którzy by tam wystawili autentyczną Zapolską — i to z pocałowaniem ręki — podają okrągły rok tacę w teatrach, względnie — sprzedają znaczki na poczcie? Jak z tym wszystkim naprawdę?

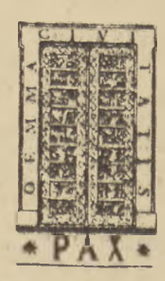

NOWOŚCI I WZNOWIENIA

ŚW. AUGUSTYN
Wyznania
str. 379, opr. płócienna, wyd. II
cena zł 35.—

GILBERT CESBRON
Bezdomne psy
str. 279, opr. płócienna cena zł 38.—

A. J. CRONIN
Klucze królestwa
str. 354, wyd. II cena zł 30.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa 1-16-240317 Sp. Wyd. „Pax" — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3. — na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15)). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkleślodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.

Zam nr 90

B-7-21547

„głosować na lewo", ponieważ od ich głosów zależy jutro międzynarodowy pokój, pokój w Unii Francuskiej, pokój w Algerze, spokój i postęp w kraju..."

Tak więc dla coraz większej liczby Francuzów, jak i dla coraz większej liczby katolików francuskich staje się oczywiste, do kogo należy przyszłość ich kraju. Należy ona do francuskiej klasy robotniczej i do środowisk z nią związanych. Tylko spośród ludzi reprezentujących interesy tej klasy, a więc i interesy całego społeczeństwa, może być utworzony silny rząd, zdolny do rozwiązania w sposób pozytywny najważniejszych zagadnień.

Przed Francją staje dziś problem Frontu Ludowego. Bez klasy robotniczej i jej reprezentacji politycznej nie może być mowy ani o stabilizacji polityki rządowej, ani o twórczych reformach w polityce wewnętrznej i międzynarodowej. Rozproszenie tych wszystkich sił wśród katolików francuskich, które jeszcze przed dwoma laty miały bezpośredni kontakt z klasą robotniczą Francji i z jej walką, spowodowało, że dziś, wobec narastającej problematyki Frontu Ludowego, są one do niej zupełnie nieprzygotowane. Można jednak w związku z tym przewidywać, że ewolucja polityczna katolickiej lewicy francuskiej będzie szła w kierunku ponownego nawiązania kontaktu z głównym nurtem francuskiego narodu, jakim są siły Frontu Ludowego.

*) Ustawa określająca kredyty dla szkolnictwa wyznaniowego.

Notatki z podróży do Indii (4)

GANGES

Benares — „Święty"

Jerzy Hagmajer

BEZPOŚREDNIO od Prezydenta, jedziemy na uroczystość zorganizowaną przez jedną z sekt muzułmańskich ku czci Nizamudina. Uroczystość ta miała właściwie charakter polityczny. Mimo pełnej bowiem swobody religijnej w Indiach, kraj ten nie wyszedł jeszcze z szoku, jakim były bratobójcze walki między Mahometanami i wyznawcami religii Hindu, po utworzeniu Pakistanu. Cyniczna gra *„divide et impera"* nie tylko podzieliła półwysep na Indie, Pakistan Wschodni i Zachodni, lecz również rozbudziła namiętności i walki religijne. Krew lała się strumieniami, a jej wspomnienie dotychczas ciąży na wewnętrznym życiu młodej niepodległością Republiki. Dlatego też przywódcy narodu hinduskiego, z premierem Nehru na czele, niejednokrotnie w swych przemówieniach powracają do zagadnienia wolności religii, dlatego każda uroczystość religijna staje się okazją do mocnego podkreślenia swobód obywatelskich i wolności sumienia.

Nizamudin był jednym z bohaterów indyjskiego świata mahometańskiego, zaś swoje życie poświęcił głoszeniu potrzeby miłości bliźniego w życiu osobistym i narodowym. Uroczystość ku jego czci zorganizował przywódca sekty — Hebar, w ruinach świątyni, na terenie której działał przed wiekami Nizamudin.

Z ciepłej atmosfery europejskiego gabinetu wiceprezydenta przerzucamy się z powrotem do Azji. Podobnie jak w Ujjain, Prezydium Akademii siedzi w kucki na podwyższeniu pokrytym dywanami, podobnie pod płóciennym dachem siedzą na ziemi jej uczestnicy, zaś głośniki przenoszą tok obrad na wielki plac, po którym krążą przekupnie i kupujący, przysłuchując się z dala przemówieniom.

Mimo partykularnego charakteru uroczystości zjawia się Przewodniczący Izby Niższej, Przewodniczący Partii Kongresowej, dyplomacja. Z przyjemnością obserwujemy naszego ambasadora, którego wszyscy znają i nadzwyczajnie witają. Ambasador Grudziński ozdobiony kwiatami wygłasza jako pierwszy z dyplomatów przyjęte z aplauzem przemówienie. Przemawiają przedstawiciele Niemiec, Syrii, Iranu. Do mikrofonu podchodzi również Emir Tuhan Baranowski i w imieniu Muzułmanów polskich wygłasza krótkie przemówienie, witane gromkimi oklaskami. Wreszcie mówcy przechodzą całkowicie na język Hindu, toteż siedzimy jak na niemieckim kazaniu. Po odśpiewaniu do mikrofonów modłów przez jednego z mahometańskich duchownych na sali zrywa się wysoki, szczupły derwisz w białym turbanie, z płonącymi fanatycznym ogniem oczami. Derwisz wymachując żelaznym trójzębem wykrzyknął kilka ostro brzmiących zdań pod adresem Prezydium po czym zasiadł w pierwszym rzędzie, osadzony władczym gestem Hebara. Ogień nienawiści tlił się w jego oczach do końca akademii, a my dość nieufnie przyglądaliśmy się jego niezbyt przyjemnie wyglądającemu trójzębowi. Przyczyną oburzenia derwisza było używanie diabelskiego wynalazku, jakim jest mikrofon, do przekazywania ludowi modlitewnych pieśni.

4 grudnia

Punktualnie o godzinie 9 rano ambasador Grudziński wprowadza nas do pałacu, w którym urzęduje premier Nehru. Kompleks budynków Rządu Centralnego i Prezydenta Republiki znajduje się na wzgórzu, do którego prowadzi szeroka, kilkukilometrowa aleja, wytyczona z rozmachem Champs Elysées. Paryskie skojarzenie pogłębia widniejący na początku alei łuk tryumfalny, zbudowany na pamiątkę udziału Indii w II wojnie światowej.

Siedziba centralnych władz, odziedziczona po Anglikach, zbudowana jest z olbrzymim rozmachem, bez liczenia się z kosztami i przestrzenią. Wszystkie gmachy obłożone szlachetnym o rudawym odcieniu kamieniem, nawiązują do tradycji hinduskiego kształtu architektonicznego, lecz stanowią syntezę architektury Wschodu i Zachodu. Wynik jest imponujący, zwłaszcza z odległej perspektywy, od stóp łuku triumfalnego. O rozmachu twórców tych budowli może świadczyć pałac Prezydenta, który wraz z ogrodami zajmuje ponad 300 akrów powierzchni, liczy 330 sal, posiada 227 kolumn, 37 wodotrysków, zaś długość korytarzy wynosi ponad 2 i pół kilometra.

Słoń w gali, w czasie urzędowej uroczystości

Długim, chłodnym korytarzem idziemy do gabinetu Nehru. Co kilkanaście kroków schylają się w ukłonie stróżujący pod drzwiami służący w białych strojach, uzbrojeni w szerokie kaszmirskie miecze. Nieco speszeni, siadamy w Sekretariacie Premiera, oczekując na audiencję. Wiemy, że nasza wizyta przypada w okresie wyjątkowego przeciążenia pracą Nehru: wizyta Bułganina i Chruszczowa, wizyta króla Arabii Saudyjskiej i króla Nepalu, bieżące sprawy olbrzymiego państwa, wreszcie jakieś trudności parlamentarne, związane z poprawką konstytucji. Wszystkie te sprawy znajdują się w rażącej dysproporcji z naszymi osobami. Fakt przyjęcia nas przez premiera jest dowodem jego przyjaznego zainteresowania Polską.

Wchodzimy do wielkiego wyłożonego boazerią gabinetu, w którym za długim, półokrągłym biurkiem siedzi premier Nehru. Na nasz widok wychodzi zza biurka i serdecznie wita się z ambasadorem, który kolejno przedstawia nas premierowi. Zasiadamy na wygodnych fotelach naprzeciwko Nehru, ubranego w białą kongresową czapeczkę, długi żakiet ze złocistego brokatu i obcisłe płócienne spodnie. Premier ma twarz śmiertelnie znużonego człowieka. Od oczu biegną głębokie „kurze łapki", zaś bruzdy koło ust nadają mu wyraz goryczy. Władcze oczy mają zimny stalowy odblask, którego chłód sprawia wrażenie, że premier ma oczy szare, a nie czarne. Nehru wsparł głowę na rękach i milczy. Wzrok jego krąży gdzieś poza nami, wydaje się, że jest nieobecny. Tylko dzięki uprzedzeniu przez ambasadora, że nieraz tak bywa z premierem w czasie rozmów, nie zrywamy się z foteli, aby się pożegnać i nie zajmować mu drogocennego czasu. Wreszcie Nehru spogląda na nas, przez usta przemyka się mu rodzaj uśmiechu i zaczyna dopytywać się o stosunki wyznaniowe w Polsce. Ze sposobu stawiania pytań widać że świetnie się orientuje w sprawach naszego kraju. Wspomina swój pobyt w Warszawie, gorące przyjęcie, zapytuje o nasze wrażenia z Indii. Ambasador pokazuje mu numer „Trybuny Ludu" z fotografią Nehru z polskimi szybownikami, premier zaczyna z ożywieniem opowiadać o swoim locie z pilotką Szemplińską. Zza drzwi gabinetu dochodzą głosy, czekających na premiera interesantów. Mimo miłego przyjęcia, siedzę jak na szpilkach, mając uczucie kradzenia czasu premierowi. Wydobywam z teki „Autobiografię" Nehru i proszę o autograf. Premier wyciąga Parkera i mile się uśmiechając składa swój podpis. Grzecznościowe frazesy kończą rozmowę, ściskamy dłoń Nehru i mijamy w drzwiach kilku ministrów przybywających na naradę do swego szefa.

Po wyjściu od premiera, jedziemy z ks. Wilkowskim do Katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Przed kilku dniami złożyliśmy wizytę Arcybiskupowi Delhi J. E. Ks. Fernandezowi. Jest to dostojny starzec o dobrej, nacechowanej żywą inteligencją twarzy, okolonej wspaniałą białą brodą. Przyjął nas nad wyraz serdecznie, dopytując się z najwyższym zainteresowaniem o życie katolików w krajach budujących socjalizm i wykazując olbrzymie zrozumienie drogi, obranej przez katolików polskich. Arcybiskup Fernandez ofiarował nam „Indian Catholic Directory" i z wielką radością przyjął od nas ryngrafy z Matką Boską Częstochowską i książkę o odbudowie polskich kościołów. Przy końcu rozmowy wezwał młodego księdza hinduskiego — ojca Justyna, któremu zlecił okazanie nam pomocy, jeżelibyśmy jej sobie życzyli.

Dziś pierwsze nasze kroki kierujemy do Ojca Justyna, aby ułatwił księdzu Wilkowskiemu formalności na terenie katedralnej zakrystii. O. Justyn wita nas z wielka radością i osobiście pomaga księdzu Stanisławowi założyć szaty liturgiczne. Z prawdziwym wzruszeniem wysłuchuję Mszy św. odprawianej w delhijskiej Katedrze przez polskiego księdza, któremu służy hinduski ministrant tak rozmodlony i skupiony, że mógłby być wzorem dla wszystkich naszych chłopców, służących do Mszy św. Przy głównym ołtarzu odprawia Mszę św. kapłan hinduski. Gdy doszło do rozdania Komunii św., plastycznie ujrzałem uniwersalizm Kościoła: wśród ponad setki osób kornie schylonych u stóp ołtarza byli Hindusi, Japończycy, Chińczycy, Amerykanie i Europejczycy.

5 grudnia

Przenikliwe zimno budzi nas przed wschodem słońca. Trzęsącym, zakurzonym wagonem I klasy wyjechaliśmy wieczorem z Delhi do Benares. Przyzwyczajeni do noclegów w hotelach, po prostu nie przewidzieliśmy, że w tym gorącym kraju może być tak zimno, toteż przemarzliśmy w nocy do samego szpiku. Błogosławiąc pomysł zabrania termosów z gorącą wodą, zaparzamy „Nesce" i wypijamy resztkę spirytusu Stanisława. Po tych zabiegach ciepło rozlewa się po naszych żyłach i świat staje się piękniejszy. Słońce powoli rozgrzewa wagon i już zupełnie zadowoleni z życia na najbliższej stacji wychodzimy na peron, aby zobaczyć jak wygląda podróż w trzeciej klasie. Widok jest dość niezwykły, gdyż nawet tłok w tramwajach warszawskich wydaje się szczytem luksusu. Pasażerowie siedzą z podwiniętymi nogami na półkach, ławkach i podłodze. Siedzą na bagażach, siedzą na sobie, rozmawiają, krzyczą, jedzą, handlują. Na peronie natomiast otaczają nas tłumy handlarzy i żebraków, nieznośnie natrętnych, to też szybko rejterujemy do zacisznej przystani naszego przedziału, opuszczamy żaluzje i w *„splendid isolation"* dojeżdżamy o 12 w południe do Moghul Sarai, gdzie oczekuje już na nas samochód, mający dowieźć nas do Benares.

Jedziemy 12 mil gołą, pozbawioną drzew szosą do tego kilka tysięcy lat liczącego miasta, celu marzeń setek milionów mieszkańców Azji. Miasta, w którym, jeśli śmierć spotka szczęśliwego pielgrzyma, nie będzie on miał dalszych wcieleń i osiągnie Nirwanę. Spotykane w czasie drogi, spoczywające na noszach, owinięte w czerwone całuny podłużne kształty, przypominają nam, że spalenie zwłok w Benares i wrzucenie popiołów do Gangesu ma również olbrzymie znaczenie religijne.

Benares jest najświętszym miejscem Indii. Położone amfiteatralnie nad szeroko rozlanym złocisto-żółtym Gangesem, lśni w słońcu południa kopułami świątyń, dachami pałaców i ostrymi wieżyczkami minaretów. Kiedyś Benares nazywało się Varanasi gdyż otaczają je dopływy matki — Gangesu, Varuna i Asi. To właśnie tutaj, gdzieś na początku czasu, Shiwa odciął w czasie kłótni z Brahmą jedną z jego głów, która wpadła do Gangesu i w nim zniknęła. Tutaj w VI w. przed nar. Chr. rozpoczął swą działalność publiczną Budda, wygłaszając w Sarnath pierwsze swoje kazania o przezwyciężeniu cierpienia.

Benares — Kąpiel rytualna w Gangesie

Hiuen Tsang, znakomity podróżnik i pielgrzym, który w VII w. po nar. Chr. zwiedzał Benares pisze, że widział tu 30 klasztorów buddyjskich z 3 tysiącami mnichów i 100 świątyń bogów hinduskich. Obecnie miasto liczy około miliona mieszkańców, posiada setki świątyń i jest odwiedzane przez dziesiątki tysięcy pielgrzymów, którzy wszelkimi środkami lokomocji i na piechotę dążą z całych Indii jak rok okrągły, do religijnego serca swego kraju.

Po oczyszczeniu i obmyciu się w wygodnym *„Hôtel de Paris"*, jedziemy do Sarnath. Najświętsze to dla buddystów z całego świata miejsce ulegało w ciągu wieków trzykrotnym zniszczeniom, z których ostatnie dokonane przez Kutbuddina w roku 1194 zrównało z ziemią wszystkie buddyjskie świątynie i klasztory. Z ostatniego pogromu ocalały tylko 2 słupy (olbrzymie kamienne wieże), z których jedną rozebrał w XVIII wieku Jagat Singh, sługus ówczesnego radży Benares potrzebując materiałów budowlanych dla nowego bazaru miejskiego. Druga budowla dotrwała do naszych czasów i możemy podziwiać jej ciężką sylwetę w pobliżu fikusowego gaju, w którym podobno Budda miał swoje pierwsze kazanie. Oglądamy jeszcze świątynię ufundowaną w latach trzydziestych naszego wieku przez rząd japoński i odkopywane resztki ruin ocalałych z mahometańskiego pogromu, po czym wracamy do hotelu.

6 grudnia

Szarym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, przyjeżdżamy nad Ganges. Wąskimi, schodzącymi ku rzece uliczkami, płynie zwarty tłum pielgrzymów. Handlarze dewocjonaliów rozkładają swój towar, wybrzeże zapełnia się wiernymi, oczekującymi wschodu słońca. Wynajmujemy dużą łódź i jedziemy wzdłuż brzegu w górę rzeki. Na skraju równinnej prawobrzeżnej płaszczyzny ukazuje się brzeg tarczy słonecznej powitany głębokim westchnieniem cichego dotychczas tłumu. W miarę ukazywania się słońca, coraz więcej ludzi pozbywa się szat, aby zanurzyć się w nurcie świętej rzeki. Starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, z utkwionymi w słońcu oczami, szepczą słowa modlitwy, płuczą usta mętną, błotnistą wodą Gangesu, oblewają nią głowę i ciało, nabierają w błyszczące naczynia świętą wodę i ofiarnym gestem wznoszą ją ku słońcu. Twarze tych ludzi mają wyraz zachwytu, uwielbienia i najgłębszej czci. Spiętrzony pałacami i świątyniami brzeg miasta świeci najpierw czerwonym odblaskiem wschodzącego słońca, aby wreszcie błysnąć intensywnym złotem odbitych w rozlewnym Gangesie promieni słonecznych. Na kamiennych wywyższeniach siedzą w pozycji lotosu kapłani, kontemplujący wschód słońca. Dzięki doskonałości bezruchu i bezwietrznej pogodzie najlżejszym nawet powiewem nie poruszającej ich szat, sprawiają wrażenie posągów, a nie żywych ludzi. Co kilkadziesiąt metrów widać przygotowane do spalenia zwłoki, ułożone w czerwonych całunach na niezbyt obfitych stosach. Gdzieniegdzie sprzątacze zgarniają do Gangesu popioły wieczornego całopalenia, wśród których błyśnie od czasu do czasu jakiś niedopalony szczątek ludzki. Popioły te płyną wśród kąpiących się równie obojętnych na resztki stosów, jak na otwory rur kloacznych, tkwiące w nadrzecznej skarpie.

Benares — „Święty"

Przewoźnik nieczuły na słońce, kąpiący się tłum i architektoniczne piękno miasta, wiosłuje miarowo w kierunku brzegu. Wysiadamy z łodzi. Rzeźki ranek wyciągnął na skraj pieczar mieszkających w nich „świętych". Wychudzone do ostatecznych granic, pozbawione jakiegokolwiek okrycia postacie siedzą w nienaturalnej pozycji, fantastycznie wygiętych stóp. Ciała obmazane popiołem ze spalonego krowiego nawozu mają jakąś nieludzką szarość. Przekrwione od dymu niewielkich płonących przed nimi ognisk oczy, świecą nienaturalnym gorączkowym blaskiem. Jeden z nich szczególnie utkwił mi w pamięci: szary szkielet obwiązany w pasie konopną liną, miał wybite wszystkie, poza dwoma, zęby, jakieś znaki wymalowane na czole. Siedział kompletnie nieruchomy ze wzrokiem utkwionym w słońcu. Lewa ręka trwała w bezruchu w jakimś katatonicznym fantastycznym wygięciu, w prawej zaś trzymał sznur paciorków, które przesuwał błyskawicznie palcami. Lekko rozchylone usta bez przerwy powtarzały słowa modlitwy. Jakaś stara kobieta podeszła do niego w kornym ukłonie i zaczęła zawodzić pieśń religijną. Melodia pieśni wyrwała go dreszczem z medytacji i przez cały czas kobiecego hołdu ciało „świętego" kurczyło się w parkinsonicznych drgawkach.

Pod wielkimi słomianymi parasolami rozsiedli się bramini, głosząc kazania niewielkim, po kilkadziesiąt osób liczącym grupom wiernych. Idziemy kamiennymi schodami w górę, oddalając się od kaznodziejskiego zgiełku, swędu tlących się stosów, kloacznych nadrzecznych wyziewów. Nie rozmawiamy ze sobą, przygnębieni niezrozumiałym dla nas światem, pełni odrazy i obrzydzenia.

Do świątyni bengalskiej doszliśmy w momencie, gdy tęgi, o wspaniałym torsie, ozdobionym kwiatami duchowny otwierał drzwi wiodące do jej ciemnego wnętrza. Duchowny mrucząc jakąś modlitwę obszedł kilkakrotnie świątynię dookoła, po czym ucałował wieniec, zdjął go z szyi i chyląc się w ukłonie, założył na głowę stojącej koło nas świętej krowy. Następnie zachęcającym gestem zaproponował nam obejrzenie rzeźb świątyni. Długim kijem wskazywał na poszczególne ornamentacje belkowań, z wyraźnym zadowoleniem tłumacząc ich znaczenie. Płaskorzeźby te przedstawiają sceny, przy których Dekameron mógłby być uważany za książkę dla dzieci, zaś niektóre wydawnictwa francuskie za szczyt dobrego gustu. Zniechęceni dajemy mu rupię za fatygę i zostawiamy bardzo zdziwionego, że nie kończymy oględzin ornamentacji, które cieszą się olbrzymim powodzeniem u Europejczyków. Pniemy się dalej w kierunku miasta, napotykając kobiety polewające świętą wodą z Gangesu falliczne słupki kamienne, symbolizujące moc męską Shiwy, który to zabieg gwarantuje im posiadanie potomstwa.

Ostatecznie zbrzydzeni wsiadamy w samochód i każemy się wieźć na Uniwersytet. Odwiedzamy Wicekanclerza, który ma wielką ochotę, aby prof. Niemczyk wygłosił wykład o Polsce dla studentów, ale rezygnuje z projektu, dowiedziawszy się, że dziś wyjeżdżamy z Benares. Wobec tego wzywa sekretarza Uniwersytetu, zlecając mu pokazanie nam uczelni. Uniwersytet zajmuje ogromny obszar 4 mil kwadratowych, wobec tego możemy zapoznać się z nim tylko powierzchownie. Dowiadujemy się, że na 10 tysięcy słuchaczy jest tylko 500 kobiet, że nauka i egzaminy są płatne, studenci zaś mieszkają w płatnych *„hostelach"* na terenie Uniwersytetu. System studiów i stopnie naukowe oparte są na wzorach angielskich. Również angielski jest językiem wykładowym. Krążymy od pawilonu do pawilonu, stopniowo pozbywając się obrzydzenia znad Gangesu. Oglądamy piękną, liczącą 300 tysięcy tomów bibliotekę i dochodzimy do oczywistego wniosku, że im więcej będzie takich uczelni w Indiach, tym bardziej będą ulegać zmianom zewnętrzne formy życia religijnego tego kraju.

W powrotnej drodze z Uniwersytetu napotykamy zbiegowisko przed świątynią małp. Jakiś Europejczyk chciał sfotografować „świętą" małpę, która oburzona tym do głębi zabrała mu aparat fotograficzny. Walka o odzyskanie aparatu Europejczyka z małpą oburzyła z kolei tłum, który był bliski zrobienia krzywdy nieszczęsnemu fotoamatorowi. Jeżeli „święta" nie życzyła sobie fotografowania, to nie można jej bić za to, że zabrała aparat. Jeżeli go wzięła, to trudno, widocznie jest jej potrzebny. Przerażony Europejczyk uległ perswazjom, zaś „święta" zręcznie wspięła się na dach świątyni, gdzie natychmiast otoczyły ją kumoszki, dyskutując zawzięcie na temat dziwnego, błyszczącego przedmiotu zabranego profanowi.

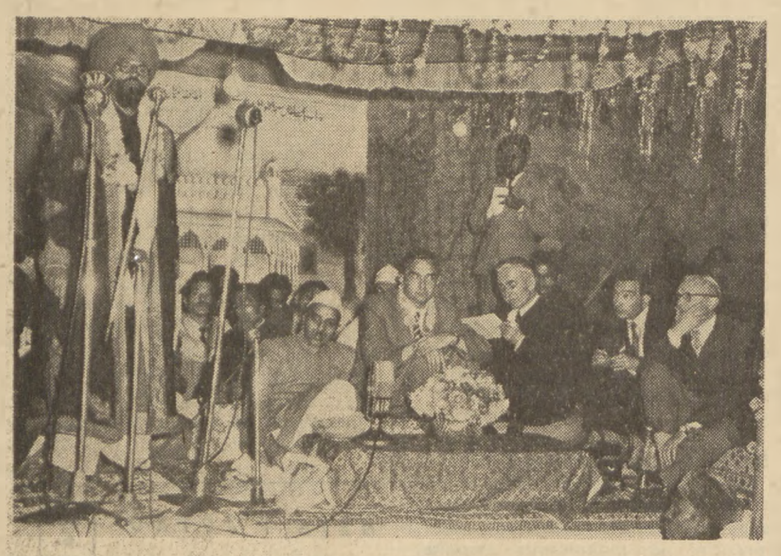

Uroczystość ku czci Niz mudina. Przemawia duchowny muzułmański Hebar. Siedzą: Przewodniczący Partii Kongresowej, p. Emir Baranowski, rektor Niemczyk, ks. Stanisław Wilkowski, Jerzy Hagmajer.